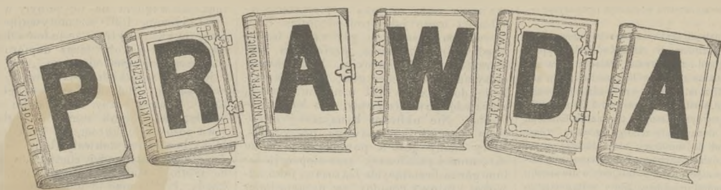
Nr. 37. Warszawa, dnia 31 Sierpnia (12 Września) 1896 r. Rok XVI.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szanownym Abonentom kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty.

POLITYKA.

HOJNOŚĆ SUŁTAŃSKA.

Mają już Kreteńczycy łaski, i zdaje się, że aż do następnego wybuchu poprzestaną na nich. A wybuch niedługo czekać na siebie każe. Najpierw może sułtan nie dać w rzeczywistości tego, co przyobiecał na papierze, w akcie nie dość uroczystym, jakim jest *irade*. Potem, jeśli sułtan przypadkiem dotrzyma słowa, muzułmanie na Krecie mogą mu na wprowadzenie obietnic w życie nie pozwolić. Wreszcie stosunki dyplomatyczne mogą się tak ułożyć, że Kreteńczycy-chrześcianie odzyskają tę wolną rękę, którą im teraz przyjęte ustępstwa krępują. Rząd sułtański nietylko ma złą wolę niedziałania i niedawania, gdy działać i dać przyrzeknie, ale jest bezsilnym wobec urzędników swoich, wojska, duchowieństwa i fanatyzowanego przezeń ludu. Fanatyzm ten na Krecie umiał się już zorganizować nawet rewolucyjnie i przeciwko epitropii greckiej postawił swoją własną, klnąc się, że na takie pokrzywdzenie Proroka, jakie w sobie niosą ustępstwa dla Kreteńczyków, nigdy nie pozwoli.

Ważniejszym od tych dwóch czynników: nieuczciwego niedołęstwa sułtanatu i ślepoty niewysłowionej muzułmaństwa, jest trzeci: wypadkowa współ- i przeciwdziałających sił dyplomacyi nad Bosforem. Nakreślić jej kierunku dziś niepodobna: wytyka go teraz dopiero zwolna, w łamanych, drżących, zygzakowatych liniach porozumienie się mocarstw, istotnie porozumieć się nigdy niezdolnych. Nie rozbiór Turcyi jest dziś zagadką do rozwiązania, ale rozbiór taki, z któregoby wojna europejska rozpalać się nie potrzebowała. Wszyscy widzą, że Turcya już się własną siłą nie utrzyma; więc ją trzymają, aby runięciem swojem nie zdruzgotała tak szacownej, dla wszystkich drogiej, arki pokoju. Dla Kreteńczyków jedno jest tylko ustępstwo logiczne, naturalne, rzeczywiście zasypać zdolne otchłań ich pożądań: przyłączenie do Grecyi. Teoretycznie od tego czynu sprawiedliwości i rozsądku mógł się zacząć rozbiór Turcyi, nie wywołując wojny; ale praktycznie trzask i łomot na jednym punkcie musiałby sprowadzić zapadanie się spróchniałego budynku i na innych.

W trwałość, w długoczesność ustępstw danych Krecie wierzyć niepodobna nawet w tem przypuszczeniu, żeby Abdul-Hamid i jego ministrowie, liche głowy i lichsze jeszcze serca, chcieli wszystko jaknajuczciwiej i jaknajlepiej spełnić, a lud sturczony i rdzennie turecki na Krecie spełnieniu się nie oparł. Zawsze przecież będą te ustępstwa miały pewien żywot dziejowy, a w chwili obecnej już żyją jako program: na poznanie zatem zasługują, tem więcej, że się różnią i od tego, co o nich zgóry głoszono, i od podanych tu już łask z Haleppy (nr. 26 i 30). Wszystkich dobrodziejstw sułtańskich jest dwanaście: 1) Wielkorządcą wyspy chrześcianin na lat pięć, zatwierdzany przez Europę. 2) Zgromadzenie narodowe stanowi prawa, wielkorządca ma tylko prawo *veto*, po dwóch miesiącach ustające. Zatwierdzenie sułtańskie wymagane tylko dla praw zasadniczych, konstytucyjnych. 3) Wojska w czasach pokoju będą trzymane w obozach i warowniach zamkniętych. 4) Urzędników wyższych mianuje sułtan, niższych—wielkorządca. 5) W wojsku chrześcianie będą mieli $^2/_3$ stopni oficerskich. 6) Zgromadzenie narodowe co dwa lata wybierane, co dwa lata też zbierać się będzie na 40 do 80 dni dla uchwalenia budżetu, projektów wielkorządcy i sprawdzenia rachunków. Prawem jest tylko to, co sejm uchwali. 7) Samo zgromadzenie nie ma inicyatywy budżetowej (prawodawczej ogólnej *irade* wyraźnie nie przyznaje, ale wynika ona z zasady, że prawem jest tylko to, co zgromadzenie postanowi oraz z przyznania prawa *veto* wielkorządcy). 8) Połowa dochodów celnych zostaje na wyspie, w myśl jeszcze firmanu z r. 1888. Niedobory w budżecie niezatwierdzonym przez zgromadzenie pokrywa skarb turecki. 9) Reorganizacya żandarmeryi przez komisyę z udziałem oficerów europejskich. 10) Toż samo w sądownictwie. 11) Drukarnie i księgarnie, stowarzyszenia naukowe, dzienniki, książki tylko za pozwoleniem wielkorządcy. 12) Prawo osiedlania się i zamieszkiwania na wyspie zależy od wielkorządcy.

Taką jest lista ustępstw. Dwa ostatnie punkty *irade*, odtwarzającego układ Porty z Dyplomacyą europejską, są jakby artykułami przechodnimi: 13-ty zwołuje pierwsze zgromadzenie za pół roku—ludność wybierze je na podstawie statutu z r. 1888; w 14-ym mocarstwa ręczą za rzeczywistość ustępstw. Tak czy owak, Kreta już nie przepadnie.

Tydzień polityczny. Najnowsze wiadomości przedstawiają Konstantynopol jako już uspokojony. Policya chwyta jeszcze Armeńczyków, nawet za paszportami zagranicznemi przybywających; 378 sprawców rozruchów, podobno też i muzułmanów, postawiła przed sądem nadzwyczajnym, *ad hoc* przez sułtana ustanowionym; położyła rękę na Ismirljana strąconego przez rząd turecki patryarchę, i lada dzień wsadzi go na okręt do Trypolisu, gdzie mu sułtan wskazał miejsce wygnania. Sześciuset Armeńczyków wziął pod opiekę swoją p. Nelidow, starając wyjednać przynajmniej sprawiedliwe postępowanie, jeśli nie nietykalność. Porta wyprzysięga się współnictwa policyi z ludem w mordach, które po 26 z. m. powtórzyły się w d. 28 z. m., a dopadkowo trwały jeszcze i we wrześniu. Anglia dopomina się wpro-

wadzenia po jednym pancerniku i proponuje objęcie Turcyi w zarząd przez ambasadorów stambulskich. Niemcy nie mają ochoty wjeżdżać ponownie na Bosfor; inne mocarstwa popierają propozycyę — ale miękko.

Anglicy uwinęli się szybko z pretendentem zanzibarskim, Said-Kalidem: w ciągu dwóch dni wyploszyli go i z pałacu i z sultanatu. Pałac i stara komora w Zanzibarze zburzone bombami okrętów angielskich. D. 27 z. m. Anglicy wprowadzili już swego protegowanego, siostrzeńca zmarłego d. 25 z. m. sułtana Alego. Gwardya sułtańska trzymała z Kalidem; będzie teraz niezawodnie zreorganizowaną. *Times* namawiał rząd do anneksyi; ale Salisbury uważa ponowienie w dzisiejszej postaci zbrojnego protektoratu za dyplomatycznie dogodniejsze, a dla skarbu angielskiego mniej uciążliwe. Nowy sułtan nazywa się Hamidben Mohamedben Said.

Na Filipinach powstanie nie ma wielkiego natężenia i prawdopodobnie wkrótce się wypali. W samej Hiszpanii zamęt coraz większy. Republikanie, socyaliści, anarchiści, — karliści wreszcie, już zapomniani, podnoszą głowę, a p. Canovas ją traci wśród coraz większych kłopotów. Na Kubie zbliża się nowy okres bojowy. Powstanie otrzymuje wciąż zasiłki z Florydy, tak bliskiej.

Cesarz austryacki w tym tygodniu kończy pobyt swój na manewrach w Galicyi. — Ugoda tak z bankiem austro-węgierskim, jak między obu rządami, o kwotę, nie rusza się z miejsca. Rząd notami uspakaja, ale właściwie drażni. Prawdopodobnie oba sejmy będą rozwiązane, a ugoda stanie już za nowych. Po uchwaleniu reformy wyborczej w Przedlitawii nowe wybory wydają się jakby nakazanemi przez rozsądek i obowiązkową odwagę rządu do zajrzenia w oczy przeciwnikowi, jakim może się stać sejm.

We Francyi cicho — więc szczęśliwie. Tylko pogłoska o ucieczce zdrajcy Dreyfussa z Kajenny mąci pogodę.

Cesarz Wilhelm w samym początku września odbywał manewry w Saksonii. Król saski w toaście swym wyraził gotowość każdego Niemca na każde wezwanie cesarza wrazie niebezpieczeństwa.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z GALICYI

Lwów, 30 sierpnia.

Przygotowało się w cichości w porze ogórkowej kilka spraw, które, z chwilą powrotu do Lwowa ludzi, odpoczywających jeszcze w różnych miejscach kąpielowych, po niezbyt wielkiej pracy, przyjdą na porządek dzienny. Przedewszystkiem rozpocznie urzędowanie nowa rada miejska z p. Małachowskim na czele jako prezydentem. Przy pierwszem głosowaniu, gdy wrzała walka między dr. Piętakiem, profesorem uniwersytetu a Mochnackim, Małachowski otrzymał tylko jeden głos; to chyba najlepiej dowodzi, że nikt o nim nie myślał, a prawdę powiedziawszy, nie było... potrzeby. Nie ubliżam bynajmniej osobistym przymiotom nowego prezydenta, który znany jest z powściągliwości, ze skromności publicznej, jest nieprzyjacielem górno-brzmiących frazesów, jako adwokat krajowy ceniony za uczucia koleżeńskie, jako człowiek — bardzo uczynny, słowem, bez zarzutu. Z pracą publiczną jest trochę gorzej.

Ojcowie radni obawiali się dr. Piętaka. Dwa główne zarzuty wytaczano przeciwko niemu: że jest człowiekiem rozumnym i ma czysto ręce. „My nie chcema inteligenta — powiadali obywatele z Łyczakowa — my sobie najmiemy dyurnistę, taj un bedzie pisać, co mu każą, taj tyla. Nam potrzebny taki prezydent, jak, nie przymierzając, p. Gołąb“ (prywatny przedsiębiorca robót budowlanych). Obawiano się, że p. Piętak zbyt gorąco zabierze się do oczyszczenia — miasta i wybrano p. Małachowskiego; p. Gołąb pozostał kandydatem na przyszłość.

Tymczasem pod nową firmą, ale bez osobistego udziału nowego prezydenta, rozpoczęło się przerabianie Lwowa. Jest to rzecz o tyle łatwa, że pożyczka już doszła do skutku. Naprzód tedy zaczęto kłaść pieniądze w stare koryto Połtwi na placu Gołuchowskich, czyli mówiąc inaczej: zakładać fundamenty pod teatr. Ile tam włożą — kasyer policzy; a jest co liczyć. Następnie rozpoczęto kanalizowanie niektórych ulic, które przed rokiem były już brukowane; w końcu nabyto kolej elektryczną od firmy Siemens i Halske. Kolej ta dawała ogromne zyski, z tymi zyskami miasto ją odkupiło i działalność swoją rozpoczęło, naturalnie — od oszczędności. Jest to charakterystyczna oszczędność, rodzima nasza, *a la* Biliński i Dunajowski, i dlatego wspomnę o niej. Firma niemiecka rozdała współpracownikom pism kilkadziesiąt biletów wolnej jazdy. Było to grzeczności — niczem więcej, która nie krępowała nikogo, ile razy potrzeba było działalność firmy zganić — tak samo jak bilet bezpłatny dla uczciwego recenzenta do teatru lub na koncert nie krępuje go w niczem. Jakiś radca magistracki zawinął się prędko — i wszystkie bilety cofnął, bez względu na to, że były wydane do 1 stycznia 1897 r., motywując krok swój (prywatnie) tem, że jeden z dzienników napisał jakoby teraz dopiero miało rozpocząć się gospodarstwo „z węglem“ i jazda wszystkich kuzynów i kuzynek radców i ich przyjaciół — bez biletów. Wątpię, aby tak daleko rzeczy poszły; fakt jednak samowoli i gburowstwa pozostanie faktem, bo krok ten zrobiony bez żadnej uchwały Rady. Doprawdy, nieraz przychodzi chętka zapytać, po co istnieją statuty i regulaminy, skoro każdy „łyk“ łamać je może bezkarnie?

Prasa tutejsza jednogłośnie prawie potępiała rządy p. Mochnackiego; nie osobistość i charakter, ale — rządy. Rozluźnienie w administracyi miejskiej doszło ostatnimi czasy do rozmiarów bardzo wielkich — świadczą o tem chyba najlepiej procesy — Mochnacki okazał się człowiekiem bardzo miękim, bardzo pobłażliwym i tak łagodnym w postępowaniu, że zachodziły poważne obawy o możebność zmarnowania funduszu pożyczkowego. Wobec takich warunków zdrowsza moralnie i rozumniejsza część członków starej Rady i mieszczan żądała stanowczo prezydenta mniej pobłażliwego i łagodnego dla ludzi, którzy ani obowiązków publicznych nie spełniali, jak należy, ani nie dawali gwarancyi, że spełniać je będą. „Czyste ręce“ — stało się poniekąd godłem wyboru.

Nikt lepiej nad dr Piętaka nie nadawał się na takie stanowisko zdyskredytowano, a jednak poważne. To też ku niemu początkowo zwróciły się oczy najpoważniejszych członków gminy m. Lwowa. Cała wszakże klika, której z p. Mochnackim na czele było bardzo dobrze, powstała przeciw dr. Piętakowi i rozwinęła bardzo energiczną agitacyę, osobliwie śród wyborców żydowskich. Było to rzeczą zupełnie naturalną. Z objęciem przez dr. Piętaka urzędu prezydenta traciła ona pole działania — pożytecznego. Nie dziw przeto, że szukała dla siebie oparcia w innej stronie. Wichrzyli także niemało mieszczanie — byli radni, rzemieślnicy i kupcy, którym nie wiem dlaczego zdawało się, że oni, mając wyłączne prawo i przywilej na „mieszczaństwo,“ powinni rządzić miastem. Brakło wprawdzie pośród nich kandydata na prezydenta, że tak powiem—„piśmiennego,“ godzili się przeto, ażeby prezydent był z „inteligencyi,“

LAURA MARHOLM.

KSIĘGA KOBIET.

Po raz pierwszy Zofia kochała jak młode dziewczę, z tem drżącem, zdradzieckiem, niepohamowanem uczuciem szczęścia z powodu tych niebywałych rzeczy, jakie działy się w jej własnej duszy, i dlatego, że ten człowiek *był istotnie*, że mogła go widzieć jutro, jak dzisiaj, dotknąć go ręką i objąć ramieniem. Żyła tylko wtedy, kiedy go widziała — nie widząc go, wpadała w rozpaczliwą bezradność. Teraz dopiero na dobre znienawidziła Sztokholm, gdyż więził i dusił ją. Człowiek, którego kochała, był słońcem południa, w nim — był szeroki świat, dalekie horyzonty, wolny duch, dumna pogarda przesądów. Przedewszystkiem zaś — on był duchem ziemi, z której ona powstała, mową, którą piastunka tuliła ją w dzieciństwie do snu, progiem rodzinnym dla tułającej się na obczyźnie samotnicy.

Gdy jednak, wziąwszy urlop, jechała do niego do Włoch lub do Paryża, spotykała się ze zrównoważonym spokojem, który na rozgorączkowane jej „ja,“ działał, jak mroźny powiew. Spodziewała się dobroczynnego ciepła, w któremby cała istota jej rozszerzyć się i wyzdrowieć mogła. Zamiast niego — własne jej uczucie napływało powrotną falą do serca, trawiąc je suchym żarem.

Nagięta struna sił zaczęła pękać. Wydało jej się, jakoby naokół wszystko zmieniło się w czarną pustkę, w której znalazła się sama jedna, samiuteńka. Miara przebrała się głównie dlatego, że codzienne jej z nim obcowanie przypadło na czas, gdy wśród mozołów i bezsennych nocy pracowała w Paryżu nad uzyskaniem „Prix Bordin.“ Otrzymawszy najwyższe to odznaczenie, znajdowała się w stanie takiego zmęczenia, wyczerpania, w jakiem wysilony mózg i udręczone nerwy widzą wszystko w barwach czarnych. Szczęście wydaje się natenczas cierpieniem; z fizycznego i duchowego wyczerpania płynie jakaś niewysłowiona beznadziejność, przyoblekająca wszystko w kir nocy, nie dającej spokoju. W podobnych stanach pragnienie erotyczne potęguje się u natur twórczych: cały organizm jest jakoby tknięty jakąś niemocą, którą najłatwiej usunąć może z zewnątrz idący, ciągły prąd sympatyi. Wtedy człowiek, którego kochała, ofiarował jej rękę. Zofia wszakże widziała wówczas tylko przepaść, dzielącą jego gentlomeńskie zastosowanie do jej gorącej miłości. Niczego nie chciała, ponieważ nie otrzymała wszystkiego. Potrosze stał jej na zawadzie obraz pierwszego małżeństwa, po części niezwyciężony jeszcze całkowicie punkt widzenia szermierek praw kobiecych. Panie to ważą na złotej wadze: „za tyle a tyle łutów i uncyj miłości powinnam otrzymać tyle a tyle łutów i uncyj miłości; za cnotliwe moje życie, które wyrażam w tyla a tylu metrach, centymetrach i milimetrach, mam prawo żądać takiej samej miary cnoty u przeciwnej strony.“

M. K. nie wdawał się jednak w podobną arytmetykę miłosną. Zofia wróciła do Sztokholmu z bolesnem przeświadczeniem, że „nigdy nie była dla nikogo wszystkiem.“ Tu wśród niechętnie odbywanej pracy zawodowej przyszła do świadomości, że miłość nie jest rzeczą, którąby mierzyć i ważyć można. Skierowała tedy wszystkie żądania ku temu, aby pozbyć się katedry w Sztokholmie — a katedrę tę od czasu uzyskania Prix Bordin oddano jej dożywotnie — aby wyjechać ze Szwecyi, gdzie zerwała była wszelkie ściślej-

a oni bodaj swego vice-prezydenta mieć by mogli. I na tej drodze układ skleić się nie dał.

W ten sposób dr. Piętak upadł, chociaż miał wszelkie prawo do kierowania sprawami miasta, a wypłynął poparty nagle przez żydów i przez mieszczan — Małachowski, z tutejszych Malachowskich.

Piszę pokrótce o tych „borbach“ teraz dopiero, naprzód dlatego, że odbywały się one w porze ogórkowej, a następnie, że teraz właśnie nowoobrana rada rozpocznie swoje urzędowanie.

Czytelnicy *Prawdy* przypominają sobie zapewne to, co pisałem o postępach niemczyzny na Bukowinie. Teraz wypada mi znowu do tego przedmiotu wrócić z powodu alarmu, podniesionego przez Niemców bukowińskich. Trudno chyba mówić na seryo o Bukowinie, jako o kraju niemieckim, skoro on nazywa się jeszcze *Bukowina*, a więc nawet nazwy nie zdołano dotychczas zniemczyć. Ale tak jest. Niemcy bukowińscy uderzają w tę samą strunę, w którą już niejednokrotnie uderzano: *Bukow. Nachrichten* mówią o zasługach cywilizacyjnych Niemców względem ludności tutejszej, która składa się z Polaków, Rusinów i Rumunów. Niepodobna twierdzić, ażeby kultura niemiecka dużo dobrego zdziałała śród powyższej ludności. Niemcy temu bynajmniej nie zaprzeczają, utrzymują wszakże, „że owa kultura nie przyjęła się nie dlatego, że jest niemiecką, ale dlatego właśnie, że ostatnimi czasy niemieckość (Deutschthum) upada.“ Wygląda to trochę na apelacyę do rządu austryackiego o popieranie tej zagrożonej placówki.

Dobrodziejstwa niemieckości, według *Bukow. Nachrich.*, były bezbrzeżne; wszystko, cokolwiek ludzie zdobyli na świecie, zawdzięczają kulturze niemieckiej. Autor nietylko nie mówi o tem, że pod budowę społeczną narodów obcych Niemcy zakładali przemocą własne fundamenty centralizmu i germanizmu, od których broniono się wszelkiemi siłami. „Wszystko to działo się wszakże dla ich szczęścia“ — powiada logiczny autor poważnego artykułu. A tymczasem ani Polacy, ani Rusini, ani Rumunowie, zamieszkujący wspólnie Bukowinę, tego dobrodziejstwa niemieckiego nie pragną i nie chcą.

Takie rozprawy na temat znaczenia oświaty niemieckiej są — jazdą amatorów. Nikt temu nie przeczy, ani przeczył — „sagt das der Pfarer auch“ (Goethe). Nie można tylko zrozumieć, dlaczego w imię cywilizacyi niemieckiej dzieci słowiańskie nie mają się uczyć w języku ojczystym, dlaczego w szkole i urzędzie ma być język niemiecki? Niech Niemcy bukowińscy pozwolą korzystać wszystkim z kultury niemieckiej w miarę potrzeby każdego, nie narzucają jej gwałtem, a co ważniejsza, nie chwalą jej dobrodziejstw wtedy nawet, gdy one skierowane są — na życie ludzkie.

Co do Bukowiny wyłącznie, kultura niemiecka nie stworzyła tu bynajmniej raju dla tuziemców; stworzyła raczej ową „halbcultur,“ która jest gorszą od rodzimego barbarzyństwa. Cały jej wysiłek skierowany był nie na podniesienie ludności miejscowej ekonomicznie, moralnie i umysłowo, lecz na zniemczenie jej. Bukowina nie zniemczyła się wprawdzie, ale kraj cały doznał wielkiej krzywdy: u dołu masa ludu jak była, tak i jest ciemną i niepocieszoną, która szamocze się w więzach głupoty i nędzy, a u góry garść Niemców i urzędników, nieszanujących bynajmniej żadnych praw konstytucyjnych, tak że dotychczas pozostały one — na papierze. Oto są niektóre, ważniejsze przynajmniej zdobycze kultury niemieckiej, która jak kamień u nogi powstrzymuje rozwój życia na każdym kroku. Przejeżdżając przez Bukowinę i słysząc takie nazwy: Nepolokom, Lużan, Czernowic itp., zdawałoby się, że jesteśmy gdzieś w Czechach. Pobyt w wojsku ogłupia do reszty biednego chłopa bukowińskiego. Męczony kilka lat jak w piekle za to, że nie może zrozumieć „rechts“ i „links,“ a pojony tą myślą, że gdyby był Niemcem, byłby się przez to kilka lat dosłużył stopnia gefreitra lub podoficera, w ciemnym swoim umyśle wyrabia odrębny jakiś pietyzm dla niemczyzny, a powróciwszy do domu, używa zamiast ojczystych, kilkanastu niemieckich wyrazów. To ma być zdobyczą cywilizacyi niemieckiej? Istotnie, nie wiadomo, co lepsze: czy rodzima głupota, czy taka kultura, która ogłupia jeszcze bardziej ciemnych, a niby wykształconych przerabia na narzędzie — kultury.

Dzięki owej opiece niemieckiej, nietylko nad Bukowiną rozciągającej swoje skrzydła, dotychczas nie możemy podnieść ciemnoty mas ludowych i robotniczych, które hodowane bez szkół i nauki, ale z należytym szacunkiem dla kultury niemieckiej, nie nauczyły się nawet czytać i pisać. Od dłuższego czasu agituje się bardzo energicznie potrzeba zakładania szkół dla dorosłych analfabetów. „Kultura niemiecka“ w niczem się do tego nie przyczynia, o nie! Dotychczas pracowano nad tymi środkami prywatnie, a dopiero gdy okazały się rezultaty bardzo pomyślne, myśl tę poczęły popierać gminy miejskie. Rada m. Lwowa na wniosek T. Romanowskiego postanowiła założyć w obrębie miasta kilka szkół tego rodzaju, a koszty utrzymania pokryć z funduszów miasta. W Krakowie istnieją także takie szkoły. Póki działo się to wszystko sporadycznie, nie było żadnej opozycyi, bo czyż można w zasadzie oponować takim zabiegom, jak chęć rozszerzenia oświaty pośród ludzi dorosłych, którym późniejsze okoliczności twardego i ciężkiego nieraz życia otworzyły oczy na znaczenie jej i potrzebę.

A jednak i w tym wypadku wystąpiła opozycya, którą nie wiem jak uważać i do jakiej kategoryi ją zaliczyć. Gdy na zjeździe członków Towarzystwa pedagogicznego w Stryju nauczyciel Pierzchała podniósł tę sprawę w osobnym referacie, proponując zakładanie kursów dla analfabetów i łączenia ich ze szkołami przemysłowemi, przewodniczący i kilkoletni prezes komisyi szkolnej w sejmie, książę Jerzy Czartoryski, wystąpił przeciwko temu, utrzymując, że „analfabeci są najczęściej *porządni i rozumni ludzie;* nauka i oświata w rękach gminu — to siekiera, którą można z pożytkiem władać, ale i kaleczyć. Zresztą historya poucza, że oświata niekoniecznie jest niezbędną do szczęścia i dobrobytu.“ Dalej pójść chyba trudno. W Galicyi wszystko wszakże możebne. Proszę tylko zważyć, ile sprzeczności w powyższym fakcie: ks. Jerzy Czartoryski, jako przewodniczący Tow. pedagogicznego — instytucyi, mającej na celu oświatę — występuje przeciwko działalności Towarzystwa, na którego czele stoi i które obowiązany jest popierać. Doprawdy, mimowoli przypominają się echa dawnych skarg szlacheckich: nie uczmy chłopa, bo nie będzie komu ani młócić, ani orać. Ponieważ ks. Czartoryski był także prezesem komisyi szkolnej, nasuwa się pytanie: co też może być warta owa komisya, kiedy jej prezes występuje przeciwko potrzebie oświaty? Przed dwoma laty ten sam ks. Czartoryski wystąpił w sejmie z krytyką działalności *Macierzy*, uważając tę działalność za niedostateczną i małą. Zdawałoby się, że chce czegoś więcej — a co zrobił? Krytyka jego była niesłuszną, płytką, a przedewszystkiem polegała nie na ocenie faktów, tylko była

---

sze stosunki. Miała widoki na otrzymanie honorowej godności członka Akademii umiejętności w Petersburgu, co dałoby jej materyalną niezależność i zupełną swobodę. Gdy w r. 1891 powróciła do Sztokholmu z Włoch od ukochanego, uczuła — może jak nigdy dotąd — że dłużej osamotnienia i pustki w życiu znieść nie potrafi, że należałoby co prędzej rzucić wszystko i przyjąć rękę ofiarowaną.

Była śmiertelnie znużoną, gdy odbywał się w niej wspomniany przewrót. Przez długi szereg lat wiodła życie temperamentowi jej wprost przeciwne. Natura jej, falująca między brzegami egzaltacyi i apatyi, weszła w jarzmo regularnej trzeźwej pracy; w tym samym czasie odumarły ją wszystkie drogie jej sercu istoty. Podczas gdy ona sama męczyła się i tęskniła, widziała jednocześnie, jak rozsypują się marzenia młodości ukochanej jej siostry Anny, jak marzenia spełnione zmieniają się w szyderstwo i biedna kobieta umiera powoli ciałem i duszą. Kiedy więc z ciepłego, wesołego południa pojechała po raz ostatni na zimną, twardą północ, pękło coś w jej wnętrzu. Nie miała już duchowej odporności dla zniesienia niewygód podróży, połączonej z częstem przesiadaniem wśród śniegu, wiatru i chłodu. Przyjechała do Sztokholmu chora i natychmiast rozpoczęła wykłady. Była ciężko zaziębioną, gdy w niepokoju, poprzedzającym gorączkę, wybiegła, złaknionа powietrza, w lekkiem obuwiu na ulicę. Było to w lutym, podczas surowego, północnego mrozu.

Choroba trwała krótko. Umarła w przeciągu kilku dni. Sama umarła, podobnie, jak głębią duszy żyła sama. Przyjaciółki, które czuwały były przy niej w nocy i którym dziękowała tak gorąco, jak dziękuje się tylko obcym, udały się właśnie do domu, gdy rozpoczęła się agonia. Nikogo nie było przy niej, prócz obcej posługaczki. Umarła i spoczęła w kraju, który siły jej złamał.

VII.

Atoli z poza obrazu, jaki tu skreśliłam, wyłania się inny jeszcze wielki, ciemny, niewyraźny. Uchwycić go niepodobna, tak jak niepodobna uchwycić odbijającego się na tafli wód obrazu. Wyciągniesz rękę — rozpłynie się. Lecz po chwili zarysowuje się i staje przed tobą ciemny, wielki, tajemniczy.

Znając dzieje życia pewnego człowieka, wiedząc z jakich wyrosło stosunków, w jakich rozwinęło się warunkach, jakie człowiek ten posiadał skłonności, jakie przeszedł cierpienia i na jaką umarł chorobę, sądzimy, że znamy go dokładnie. Mamy przed oczami wizerunek mniej lub więcej szczegółowy, sąd o nim mniej lub więcej psychologicznie w świadomości naszej uzasadniony. Życie Zofii Kowalewskiej jest zaś jednem z tych, które z pozoru żadną nie są osnute zasłoną. Była otwarta, chętnie się udzielała, interesowała się sama psychologicznym swoim rozwojem, niczego nie miała potrzeby ukrywać; znało ją mnóstwo ludzi w całej Europie, żyła na widowni i umarła na zapalenie płuc, które było następstwem influenzy.

W ten sposób pojęła ją też pani Leffler, kreśląc rozumny obraz, w rozumne ujęty granice.

W obrazie tym jest wszystko, prócz — niej samej.

Ellen Key poprawiła i wypełniła ten rysunek, włożyła w pracę swoją subtelność i ciepło serdeczne, uchwyciła wszystko — prócz Zofii Kowalewskiej.

To zaś, co ja w szkicu tym przedstawiam — w tem przeświadczeniu, że wrażeniami, których sama w młodości doznałam w Rosyi i temperamentem bliższą jej jestem od dwóch moich poprzedniczek — jest wprawdzie analizą jej życia, lecz nie nią samą.

Rzekłbyś, że stoi przed tobą bajecznie wielkie jak cień, rzucony przez wschodzący księżyc, widmo, które zdaje się rosnąć

sobie— fantazyą pańską, w skutkach bardzo szkodliwą. Spowodowała ona usunięcie się ze stanowisk poważnych ludzi zasłużonych, pozwoliła wśliznąć się tam innym, którzy ani z oświatą ludu, ani nawet z wykształceniem jakiemś nic wspólnego często nie mają, a instytucyi pedagogicznej nadała cechę Towarzystwa dobroczynności. Kiedyż ks. Czartoryski jest w zgodzie ze sobą? Tu rozbija instytucyę, stworzoną dla oświaty ludu — w imię potrzeby szerzenia większej oświaty, tam występuje przeciwko potrzebie oświaty. Czy nie są to fantazye? Co na takiej niejasności przekonań można budować?

Cho.

Z NIEMIEC.

Berlin, 28 sierpnia.

Na początku ubiegłego miesiąca obradował trzeci kongres psychologiczny w Monachium. Czterystu psychiatrów, a w tej liczbie sporo kobiet przybyło ze wszystkich krajów, aby roztrząsać najżywilsze kwestye z życia duszy ludzkiej. Dziesięć odczytów wygłoszono w ogólnych posiedzeniach, a sto w pięciu osobnych sekcyach. Kongres zasiadał w auli uniwersyteckiej, a w imieniu wszechnic bawarskich przywitał gości minister oświaty. Wobec tego wspaniałego areopagu uczonych minister zachował się jak Filip z Konopi. Zamiast uchylić czoła przed zgromadzeniem, którego celem jest zbadanie bezstronnej prawdy, mówca wyraził nadzieję, iż kongres zostawi nietkniętą wiarę w odpowiedzialność człowieka. Delegaci jako goście, chcąc nie chcąc, musieli się poddać woli niedelikatnego gospodarza. Gdyby się odbył w Monachium kongres antropologiczny, musianoby ignorować teoryę Darwina, kongres zaś astronomiczny, kto wie, musiałby może się wyprzeć poglądów Kopernika. Słowa ministra na razie nie wpłynęły szkodliwie na zjazd wobec masy kwestyj, któremi trzeba było się zająć. Prezydujący, prof. Stumpf, nakreślił w krótkim zarysie historyę kongresów psychologicznych. Pierwszy kongres, zwołany do Paryża dla psychologii fizyologicznej, przeważnie był poświęcony hypnotyzmowi, sprawie złudzeń zmysłowych i dziedziczności. Na drugim kongresie, w Londynie 1892 r., rozbierano wszelkie kwestye psychologiczne, dające się traktować doświadczalnie. Trzeci zaś, w Monachium, miał objąć psychologię w najszerszem tego słowa znaczeniu, nie przeoczając bynajmniej doniosłego znaczenia abstrakcyi. To też na kongresie ścierali się uczeni najrozmaitszych barw i odcieni. Byli tacy, co odmawiali psychologom wogóle prawa wtrącania się do psychologii: jest to bowiem rzecz fizyologów. Takie zdanie wygłosił Dechterew z Rosyi przy proteście całego kongresu. Inni znowu zagradzają uporczywie metodzie fizyologicznej wstęp do nauki o duszy ludzkiej. Tych uczonych był cały legion. Znani psychologowie, jak Lippe z Monachium i Preyer z Wiesbadenu, wyraźnie nadmienili, iż uważają fizyologiczną metodę w psychologii za bezpłodną, a nawet szkodliwą, gdyż odwraca uwagę psychologów od samoobserwacyi. Nie brakło i zwolenników złotego środka, do których należał sam prezydujący, prof. Stumpf. W swym odczycie poruszył on kwestyę tak kardynalną, jak stosunek duszy do ciała. Teorya Fechnera, według której dusza i ciało są tylko dwiema stronami tej samej istoty, coraz mniej znajduje zwolenników. Teorya psychofizycznego parallelizmu, nieuznająca jednak związku pomiędzy ciałem a duszą, nie jest w zgodzie z teoryą rozwoju. Teorya ta, zdaniem Stumpfa, nasuwa przypuszczenie o jedności ciała i duszy. Chlubą kongresu, a zarazem najburzliwszym momentem, był odczyt prof. Flechsiga z Lipska o ośrodkach asocyacyjnych w mózgu ludzkim. Rzęsistymi oklaskami podziękowano prelegentowi za jego ciekawy referat. Flechsig starał się wykazać za pośrednictwem badań embryologicznych, w jakim porządku powstają różne ośrodki w mózgu dziecka. Najpierw ukazują się ośrodki czucia, stanowiące cztery większe okręgi mózgu, które zajmują trzecią część jego kory. Każda sfera zmysłowa jest jakby samodzielnym organem. Dopiero z czasem z tych ośrodków wychodzą włókna do pozostałych części kory mózgowej. Włókna te spotykają się i wytwarzają w ten sposób komunikacyę pomiędzy odosobnionemi ogniskami. Te właśnie nowe ośrodki są przypuszczalnie siedliskiem wyższych funkcyj umysłowych. Sommer okazywał przyrząd do odgadywania myśli. Wychodzi on z tego założenia, że myślom naszym towarzyszą pewne ruchy w ciele, niedające się uchwycić gołem okiem. Aparat Sommera uwzględnia tylko ręce i daje charakterystykę odpowiednich ruchów w trzech wymiarach. Może on mieć jeszcze inne praktyczne znaczenie. Choroby, powodujące drżączkę, mają każda swą specyalną „tremę.“ Pod tym względem alkoholik nie różni się od epileptyka. Możliwem jest, że wynaleziony przyrząd będzie służył jako środek dyagnozy lekarskiej. Został on wypróbowany w wielu wypadkach. Prelegent pokazał np. pewnej osobie cztery farby, prosząc, aby jedną z nich wybrała. Gdy tej osobie pokazano powtórnie farby za pomocą aparatu, łatwo było odgadnąć, którą ma na myśli. Ostatnim mówcą był Lippe, przedstawiciel czystej psychologii. Mówił o nieświadomości w psychologii. Podkreślał on, iż nieświadomość jest podstawą wszystkich zjawisk duchowych, że doświadczenie zarówno gatunku, jak osobnika działa w formie nieświadomości. Oprócz tego Lippe twierdzi, iż jądrem naszego „ja“ są procesy naszej woli. Poznać duszę ludzką, znaczy obserwować ją, a raczej obserwować samego siebie. Na kongresie byli obecni i Francuzi, jak Ribot, Richet, Philippe. Gdy zabiera głos nauka, milknie szczęk oręża, a braterstwo narodów w dziedzinie nauki objawia się naprzekór szowinizmowi politycznemu.

Dwadzieścia lat upłynęło od chwili, kiedy powstał „Pierścień Nibelungów“ Wagnera. Przed kilku tygodniami pośpieszyli wielbiciele tego geniusza do Bayreuthu, aby uczcić pamięć jego i usłyszeć ten utwór na scenie, stworzonej przez samego Wagnera. Dwadzieścia lat upłynęło, jak stoczono pierwsze o niego walki. Z zapamiętałością i zapałem wojowano o zasady Wagnerowskie. Opowiadają, iż w r. 1876 wyciągnął jakiś berlińczyk swą żonę z nowonarodzonem dzieckiem z łóżka i zawiózł do Bayreuthu, aby dziecko mogło kiedyś powiedzieć, iż z mlekiem matki wessało muzykę Wagnera. Tego samego roku berliński docent Pringsheim pobił profesora Leo, gdy ten nie chciał odwołać swych niepochlebnych wyrazów o Wagnerze. Z zapału tego nie pozostało ani śladu. Wagner został uznanym przez cały świat i otrzymał prawo obywatelstwa na wszystkich scenach. Wielka gmina Wagnera powtarza za panią matką pacierz, komentuje mistrza zamiast go odczuwać, z marną pedanteryą doprowadza jego poglądy do przesady, zamiast rozwijać je i udoskonalać. Jest to, zdaje się, los każdego wielkiego ruchu literackiego i artystycznego. Czwarta część biletów poszła do Francyi, tyleż do Anglii i Ameryki, a resztę roz-

---

w miarę, jak mu się przyglądasz. I pytam sama siebie: kto ona jest?

Nie wiem. A i ona sama nie wiedziała. Żyła — to prawda. Ale własnem, prawdziwem, indywidualnem życiem nie żyła nigdy.

Więc stoi oto, niby postać, która wyszła z mroku i w mrok poszła. W najdrobniejszych rysach, w rozproszeniu, rozczątkowaniu gorączkowego a bezcelowego życia jest dziecięciem czasu i typem kobiecym, przez prąd tego czasu urobionym. Geniuszem jest — na nie, kobietą — na nie, istotą — bez tchu biegnącą do celów, poza którymi tkwi pustka, człowiekiem, ginącym z głodu przy zastawionym fikcyjnemi potrawami stole, stworzeniem—śmiertelnie znużonem, a bojącem się śmierci. Umiera wreszcie, ponieważ instynkt samozachowawczy na chwilę w niej zamilkł i ludzie czczą ją nekrologami, by zapomnieć o niej dla najbliższej nowości. Lecz poza tem wszystkiem jest jeszcze inna postać, *ona sama*, umarła, która wiecznie żyć będzie: siła żywotna, taka gorąca, wulkaniczna, jak rozżarzone wnętrze ziemi, kobieta w każdym calu i więcej niż kobieta. Mózg, który oderwał się od płci, myślał samodzielnie i wchłonięty był znowu przez płeć, by jej uledz; dusza, pełna mistycyzmu, wiedziona nieraz przez ducha czasu na manowce, lecz widząca w chwilach ekstazy wieczne oblicze wszechrzeczy. Królewski duch kobiecy, który karmił setki żebraków, rozdawał się wszystkim, a nie objawił się nikomu.

„Gdy podawała rękę — mówiła mi Ellen Key — zdawało się, że sfrunął w dłoń mały ptaszek o drżących skrzydełkach i bijącem głośno serduszku.“ Zaś Hilma Strandberg, autorka, która podówczas znakomicie karyerę rozpoczęła i którą później losy odegnały daleko od pierwszych początków, tak mówi o pierwszem swojem z Kowalewską spotkaniu: „Zdawało mi się, że „przejrzała“ mnie wzrokiem na wylot, jak nikt dotychczas; potem zaś doznałem uczucia takiego, jak gdyby powoli, stopniowo istota moja, z jej woli, rozpływała się w nicość...“ Było to uczucie fizyczne, które spotęgowało się tak gwałtownie, że prawie zemdlała i z trudem zdołała wrócić do domu.

Dwa te rysy zdradzają, co w osobie Kowalewskiej najsilniejsze wywierało wrażenie: oczy i ręce. O tym jej przenikającym ludzi nawskroś wzroku dużo przechowało się anekdot; o rękach jej wspominają tylko Ellen Key i pani Leffler, która wzmiankuje, iż ręce Zofii wcześnie zeszpecone były przez żyły. Uwagi te wystarczają dla dopełnienia tego wrażenia, jakie uczyniły na mnie ręce jej na portrecie, są to małe rączki dziecięce, o cienkich: nierównych, trwożliwie i nerwowo zaciśniętych paluszkach; jedną rączką tak kurczowo, z tak widocznem naprężeniem obejmuje obojętną książkę, że patrząc na to, czuje się boleść i żal.

Ręce częstokroć lepszym bywają materyałem psychologicznym, aniżeli twarz. Twarz można opanować, rąk opanować niepodobna. Są ludzie o delikatnych, mądrych, uduchowionych obliczach, którym kłam zadają ręce grube, mięsiste, gładziutkie, o grubych, tępych palcach. I są twarze krągłe, ciepłe, zmysłowe o pełnych, nieraz wprost grubych wargach, twarze, którym jednak tak boleśnie kłam zadają blade, żylaste, chore ręce. Twarz Zofii opanowana była przez przenikliwy wyraz jej oczu, przez intensywne zaciekawianie się każdem zjawiskiem, przez wszystko, co nazewnątrz jej leżało. Ale słabe, naprężone, nerwowo drżące jej rączki opowiadały o cierpieniach bezradnego dziecka, któremu nigdy nie sądzonem było stać się kobietą.

KONIEC.

chwytano w innych krajach, nie wyłączając Japonii, Australii i Kamerunu. W ten sposób koszty zostaną przynajmniej w większej części pokryte. Pół miliona marek kosztował zakup samych dekoracyj i kostiumów; aby wyjść na swoje, rada administracyjna urządza w roku przyszłym te same przedstawienia. Nie ulega wątpliwości, że pielgrzymka do Bayreuthu odbędzie się i wówczas na taką samą skalę. Przedstawienia wypadły, zdaniem specyalistów, wogóle doskonale; brakowało tylko Wagnera, który w Bayreuehie pełnił rolę kapelmistrza i reżysera, a zarazem kształcił personel orkiestrowy i śpiewaczki. Na czele przedsiębiorstwa stoi wprawdzie sama pani Wagner, która nie szczędziła starań, aby wszystko działo się podług zasad głoszonych przez nieboszczyka. Lecz w uległości mężowi doszła do krańców i jak twierdzi krytyka — do śmieszności. Wagner, jak wiadomo, nie cierpiał śpiewaków włoskich, którzy połykają słowa, uwydatniając jedynie melodyę. Rozmijało się to z poglądami jego na operę, gdyż ta, zdaniem jego, powinna być połączeniem słowa ze śpiewem i przypominać grecki chór. Żądał tedy, aby śpiewak przedewszystkiem był dobrym artystą dramatycznym, aby posiadał wyborną gestykulacyę i wymawiał wyraźnie słowa tekstu. Stało się do tego stopnia zadość życzeniu Wagnera, iż śpiewacy bojąc się odstąpić o litery jego teoryi, nie śpiewają, lecz deklamują; zgłosek często nie słychać, a na spółgłoskach koncentruje się cała muzyka! Przeciwnicy Wagnera po dzień dzisiejszy wytykają jego zwolennikom, iż podług tych ostatnich śpiewak powinien tylko dobrze deklamować. Maniera ta rzeczywiście coraz więcej paczy wykonanie muzyki Wagnera. Inne zarzuty są mniej słuszne. Twierdzą np., iż śpiewak nadwyręża swój głos w sztukach Wagnera, gdyż musi być wyraźnie słyszanym obok huczącej muzyki orkiestrowej. Wagner nie przeoczał zupełnie tej trudności i starał się jej zaradzić, postarawszy się o wspaniałą akustykę i odgrodziwszy orkiestrę szczelnie od publiczności. Muzyka niewidzialnej orkiestry nabiera pewnej miękkości. Nawet słabszego głosu nie zdoła tam przytłumić *forte* orkiestry. Rozumie się, siły artystyczne zostały wyszkolone, nie zapomniano o najmniejszych drobiazgach, a nad wszystkiem czuwało oko pani Wagner. Szczególnie wspaniałe wrażenie miała zrobić pierwsza scena, owiana duchem mistycyzmu. W innych teatrach początkowe *Contra=Es* uchodzi zupełnie ucha publiczności, gdyż kontrabasu na tej wysokości nie jest w stanie uchwycić ucho nasze. Tu zaś kontrabasy zastąpiono organami, wskutek czego ton był wyraźnym.

H. F.

Z WYCIECZKI W DOLINĘ PRĄDNIKA.

(Ciąg dalszy).

W kilkanaście godzin później, z żalem żegnając dolinę, dałem sobie słowo, że gdy do niej znów powrócę, „na świeżem sianku," przy stajence, pomimo uroku sielankowego, jaki przedstawia ta sytuacya, nigdy już z własnej woli nocować nie będę. I tak się szczęśliwie zdarzało, iż w ciągu pięciu lat następnych, ilekroć w lipcu zawitałem do miłego ustronia, zawsze znajdowałem przytulisko — jeśli nie w hotelu „pod Łokietkiem," to w jednym ze schludnych pokoików piętrowych poblizkiej karczmy. Stosunek mój z Ojcowem coraz bardziej się utrwalał i zacieśniał; ale, rzecz dziwna, zwykle po trzech, czterech dniach pobytu, zwłaszcza przy braku odpowiedniego towarzystwa, dziecię równin, uczuwałem tęsknotę za szeroką, nie zamkniętą żadnemi ścianami przestrzenią, i wymykałem się z objęć parowu na bezbarwne płaskowzgórze do odległego o dwie wiorsty, miasteczka, Skały.

Twarda konieczność warunków życiowych wywołała następnie pięcioletnią przerwę w dziejach serdecznego z doliną związku. Czas jest najlepszym probierzem uczucia: kiedy 17 lipca 1895 r. słabo sklecony wózek ojcowianina staczał się ze mną w podskokach, po pochyłości, od strony Woli Kalinowskiej ku malowniczemu jarowi, doznawałem takiego wrażenia, jakbym za chwilę miał powitać kogoś z najbliższych. Pochylony naprzód, oczekiwałem niecierpliwie ukazania się zameczyska, niby sędziwego olbrzyma-pustelnika w bogatym płaszczu z drzew; gdy wtem wyjeżdża naprzeciw mnie z głębi parowu kilka wielkich wozów, przeładowanych ściętemi świeżo gałęziami, i kurz, trudny do zniesienia, zasypuje oczy, spragnione widoku. Wkrótce potem sprawdziłem, że urocze resztki przeszłości straciły swą postać: zburzono je przed dwoma laty, aby gmach stary według jakiegoś planu archiwalnego odbudować; obecnie sterczy na wzgórzu skalistem bezkształtny ożóg,— część baszty zupełnie nowa, pozbawiona dawnego daszka ostrosłupowego. Robotę restauracyjną przerwano...

Oprócz tego jedynego zawodu, kojonego zresztą obietnicami, iż sprawa odbudowania ruin chwilowej tylko uległa przerwie, wszystko niemal, co w przeszłym roku zastałem na gruncie Ojcowa, dodatnie sprawiało wrażenie i świadczyło, że ludzie, którzy się nim opiekują, dążą do zgodnego z postępem cywilizacyjnym, wyzyskania rodzimych zasobów doliny. Na miejscu dawnego tartaka, „co zjadł ojcowskie lasy" (stereotypowe wyrażenie, powtarzane często przez starszych wiekiem obywateli miejscowych, którzy pamiętają otaczające parów, rozległe knieje) w kotlinie zacisznej nad Prądnikiem, przy drodze wiodącej do Grodziska, wzniosił się już nowy, okazały budynek zakładu hydropatycznego, nazbyt może romantycznie przezwany „Goplaną." Obmawiano go rozmaicie: głoszono, że niektóre jego belki są „przez grzyb napoczęte"; że ma jedne tylko schody — co na przypadek pożaru przedstawiałoby zgubną w swych następstwach niedogodność; że poziom gruntu, na którym stoi, jest zbyt nizki itp.; ale kogóż i czegóż nie krytykują. Nowa instytucya lecznicza już nawet funkcyonowała; zbywało jej wszakże (jak szeptano) na odpowiednim kierowniku.

Śród dotykającej hotelu „pod Łokietkiem" — stopniowo na park przekształcanej łączki (którą letnicy ochrzcili żartobliwie „półmiskiem") stała świeżo wzniesiona budowla, mieszcząca w sobie kręgielnię, strzelnicę i salkę bilardową; nieopodal urządzono gimnastykę wraz z placykiem do krokieta.

W altance t. zw. „okólnika" — obramowanego żywopłotem świerkowym a wysypanego żwirem ogródka — w którym rosną młode lipki z kilku wpośrodku wybujałemi bardziej brzozami,—na przejściu z hotelu do hotelu, i z jednej, zadrzewionej części młodego parku do drugiej, przezroczystej — rano i wieczorem grywała wcale niezła orkiestra włościańska ze Skały. Kto potrzebował leków, miał przy hotelu „pod Kazimierzem" aptekę. Obok niej w wynajętych izdebkach bocznych, usadowili się — gotowi do usług — dwaj wędrowni pracownicy, stanowiący razem dość jaskrawy kontrast: młody golarz wyznania mojżeszowego, i weteran-fotografista.

Dodajmy do tych nowości utrzymywaną oddawna przez energicznego i taktownego dzierżawcę hotelów (p. G.), porządną restauracyę wraz z piekarnią i sklepem, gdzie można było dostać rozmaitych rzeczy, mniej lub więcej potrzebnych przywykłemu do wygód, mieszczuchowi, — a zrozumiemy, dlaczego życie towarzyskie w przeszłorocznym sezonie śród kolonii ojcowskiej rozwinęło się i znalazło swe ognisko w gospodzie „pod Łokietkiem." W tym koncercie wszelako brzmiał ciągle jeden głośny rozdźwięk, którego widomemi znakami były poprzybijane tu i owdzie do słupów tablice z napisem, oznajmiającym, że osobom, niezaopatrzonym przez „administracyę dóbr" w odpowiednie bilety, wzbrania się chodzić po parku, zbierać jagody i grzyby w lesie. Gdym zapytał, co to znaczy, — tłumaczono mi z uśmiechem na ustach, że zakaz nie dotyka wcale ani lokatorów hotelowych, ani czasowych mieszkańców Goplany, lecz tych wyłącznie, którzy stoją w chatach kmiecych; zarząd, obciążając gości włościańskich stosowną opłatą, chce zmusić chłopów do ustąpienia z doliny, wzamian za grunty, ofiarowane im na płaskowzgórzu. Był to więc poprostu jaskrawy płomyk małej wojny domowej. Sprawca zamętu, administrator, p. Ch., miał wygląd surowego o cholerycznym temperamencie ekonoma starej daty, a działał (jak mię kompetentni zapewniali) w dobrej wierze, pragnąc hr. Krasińskiemu, któremu wiele zawdzięczał, gorliwą służbą dochodu przysporzyć. Gwałtowność jednak i idący z nią w parze brak taktu w postępowaniu nie mogły zapewnić tryumfu jego zamysłom. Chłopi odgrażali się i obrzucali błotem pełne powagi pseudo-prawodawczej, tablice z wykaligrafowanemi pięknie ostrzeżeniami, które też martwą pozostały literą; bo choć ktoś tam może i bilet wykupił, ale nikt podobno z „letników" nie doznał w swych wędrówkach po dolinie przeszkody ze strony służby administracyjnej. Skończyło się (o ile wiem) na komicznej, bo prawie niewykonalnej groźbie wytaczania procesów każdemu z osobna gościowi chaty włościańskiej. Ludność napływowa stała jednomyślnie po stronie kmieci; żartowano z bezsilnych zakazów i bawiono się kosztem ich autora.

Dysonans taki śród ogólnej, a lenistwem lipcowem nawskroś przeniknionej harmonii, był do pewnego stopnia pożądany, bo lekko drażniąc, budził... Stanowił on jednak dla rozmiłowanych w Ojcowie złą wróżbę, która, jak przewidywano (tylko pod wpływem odmiennych, przez śmierć Ludwika hr. Krasińkiego powikłanych okoliczności) sprawdziła się w kilka miesięcy później.

Przystąpić nareszcie muszę do treściwego sprawozdania z ostatniej, tegorocznej wycieczki. Wabił mię po dawnemu czarowny jar ojcowski, i ani przypuszczałem, że go zdradzę dla Pieskowej Skały. Czy się co w jego naturze samej zmieniło, czy jaki duch-niszczyciel za dotknięciem różczki czarnoksięskiej wdzięków mu ujął? Kto winien, że główna siedziba rusałek prądnickich w tym roku mniej piękną mi się wydała? — Nie winna temu ani góra Hełmowa — z krzyżem żelaznym, z widokiem zamglonym na wieżę Maryacką, i grotą Łokietka w swem wnętrzu, ani Bystra, zalotnica, z drzewkiem szczytowem i piętrzącemi się karbami, niby schodami dla skrzydlatego wielkoluda, — ani majestatyczna Brama, — ani pełna uroku jakiejś ciszy przeddziejowej dolina Sąspowska; ale tylko ojciec deszcz z córą wilgocią i złe rządy miejscowych gospodarzy...

Z Olkusza wiózł mię omnibus czterokonny. Jest to nowość, którą w rachunkach obecnej administracyi zapisać należy, jako cyfrę, bądź co bądź, dodatnią,—jedzie się „brekiem" nieco wygodniej i szybciej, niż zwykłym wasążkiem włościańskim. W parę dni po przybyciu na miejsce miałem do zanotowania inny fakt na karcie pamiętników ojcowskich, spostrzegłszy niespodzianie pierwszą skrzyn-

kę pocztową, przybitą do ściany zewnętrznej hotelu „pod Kazimierzem.“ Wprawdzie założona świeżo stacya nie rozsyła dotąd listów; ale może to i lepiej, bo „pracowitym próżniakom“ daje sposobność powiększenia liczby mniemanych zajęć o jedną rubrykę stałą... Oprócz tych dwu szczegółowych, w gruncie niebardzo ważnych, zmian ku lepszemu, nic już chyba sumienny spostrzegacz, patrzący na rzeczy ze stanowiska *lokatora hotelowego*, nie mógłby zaznaczyć w złotej księdze nowego zarządu; do skarg zato rzeczywistość co chwila powody nastręcza.

Z góry tu uprzedzam, że „Goplany“ — ukochanego i starannie a kunsztownie podobno pielęgnowanego dziecięcia nowej administracyi, na której czele stoi energiczny lekarz, p. Topolski, nie miałem sposobności bliżej poznać. Istotna zresztą *Goplana* Ojcowa, czyli jego przyroda, kocha się zapamiętale, jak u Słowackiego, w Grabcu, krzepkim chłopie; silnie o tem przekonany (pomimo krasomówczych wywodów doktora Markiewicza w *Kuryerze Warsz.*), widzę z żalem, że sztucznie rozniecone ognisko lecznicze wydziera dolinę ludziom *zdrowym* i tym profanom zuchwałym, co w cuda starej, choć po modnemu wystrojonej babuli-medycyny wcale a wcale nie wierzą. Patrzę więc na wszystko okiem zwyczajnego obserwatora, nienacieranego przez wiedeńskich masażystów i nieobwijanego w koldry wełniane...

Dotykalnem, nastręczającem się odrazu każdemu przybyszowi, świadectwem wadliwego funkcyonowania machiny administracyjnej jest owo nieszczęśliwe zamczysko, z zarzuconą już na dobre i zczerniałą robotą mularską, która miała jakoby na celu odbudowanie pomnika przeszłości... Przed sześćdziesięciu laty Edmund Wasilewski zakończył swój wierszyk (*Napis w Ojcowie*) posępną wróżbą: „Byt ruiny nawet zginie!..“ Ale nie przewidywał, że troskliwi opiekunowie sami basztę zburzą, przystąpią do rzekomego wskrzeszenia odwiecznej pamiątki,—zlepią kilka nowych cegieł i... rzucą je na pastwę czasu.

Nazwany oficyalnie parkiem, osłaniający podnóże i pochyłość góry Zamkowej, dziki ogród o wązkich ścieżkach zarasta bez żadnej kultury. W drugiej połowie lipca można tu było zauważyć jużto złośliwą jakoby ręką połamane ławki nadpróchniałe i stoły, jużto zupełny ich brak w wielu miejscach — tam, gdzie się przeszłego roku znajdowały. Orkiestra włościańska grywała w „okólniku“ podczas ostatniego sezonu — tylko wieczorem, przeplatając zazwyczaj krótkie popisy długiemi przerwami; *poranki* muzyczne przeznaczono dla Goplany.

Ani śladu nie było czytelni; żadnego nawet dziennika, stale z Warszawy dosyłanego; gdy się pojawiła jaka spóźniona gazetka — z przed trzech, czterech dni, rozchwytywano ją, niby osobliwość. Podobno pensyonarze zakładu mieli, prenumerowane przez zarząd, pisma peryodyczne; ale trudno się było wpraszać do ich towarzystwa, choćby nawet uprzedzono o upoważniającym do tego prawie; bo żyłka czytelnicza budziła się zwykle podczas deszczu, a wtedy spacer po drodze błotnistej, wynoszącej przeszło 900 kroków, bynajmniej nie nęcił. (D. n.).

A. G. Bem.

PAMIĘTNIK.

Niezasłużony kłopot.

Ziemian naszych zaskoczyła przykra niespodzianka, która zwaliła na nich bardzo poważny kłopot. Mianowicie, Bank państwa polecił oddziałowi tutejszemu i jego filiom wstrzymać udzielanie pożyczek rolnych, czy też zmienić ich warunki, które właściwie cofnęłyby kredyt. Tak np. między innymi pożyczki mają być dawane tylko na zboże omłócone, ktoby zaś chciał je zaciągnąć na zboże w słomie, musiałby zwracać się z prośbą do Petersburga. Ponieważ zaś u nas omłot odbywa się głównie przy końcu jesieni lub w zimie, rolnicy nie mogliby korzystać z kredytu w tej porze, kiedy on dla nich jest najpotrzebniejszy. Podobno Oddział Warszawski odniósł się do swej zwierzchności z przedstawieniem, uzasadniającem pożyteczność utrzymania dawnej praktyki. A ma on ku temu bardzo dobre racye i przekonywające argumenty. Bank bowiem oprocentowywa sobie w tych pożyczkach bardzo korzystnie znaczne kapitały, a nadto ma dłużników sumiennych i pewnych. Rzecz szczególna i bardzo pocieszająca, że ziemianie nasi, którzy zwykle nie odznaczali się punktualnością w dotrzymywaniu zobowiązań pieniężnych, względem Banku są tak rzetelni i akuratni, że dotychczas było zaledwie kilka wypadków niewypłacalności lub opóźnienia, czem nie może pochwalić się żadna instytucya pożyczkowa. Sądzimy przeto, że wobec tak wymownych dowodów solidności koła dłużniczego, Bank nie utrudni mu kredytu i nie obciąży jego warunków nadmiernemi wymaganiami.

Brakło.

Czego? Przy współudziale warszawskiego Towarzystwa postanowiono bieżącej jesieni urządzić wystawę ogrodniczą w Radomiu. Wybór tego miasta nie był dość szczęśliwym, gdyż ono nie stanowi ważnego ogniska w obrębie tej produkcyi; ale świtała nadzieja, że wysilonym staraniom uda się coś zebrać. Tymczasem ogłoszono zawiadomienie, że wystawa odłożona została do roku przyszłego z powodu nieurodzaju owoców w bieżącym. Że nieurodzaj istnieje, to nie ulega wątpliwości, ale żeby on aż uniemożliwiał wystawę, w to nikt nie uwierzy. Naprzód bowiem nie ma tak nieszczęśliwego ogrodu, w którymby nie można zebrać na pokaz talerza owoców z każdego prawie drzewa; powtóre nieurodzaj objawił się również w całej niemal Europie środkowej, a jednakże nie przeszkodził Niemcom urządzić kilku wystaw. Zbrakło tedy nie gruszek, jabłek i śliwek, ale energii, dobrych chęci, tych wszystkich wreszcie czynników, które sprawiają, że zagranica ciągle urządza popisy ogrodnicze, pozwalające jej coraz lepiej oryentować się co do produkcyi i zbytu, a u nas bardzo rzadko, po długich mozołach i zabiegach, góra rodzi mysz. Warszawa otoczona jest wielokrotnym pasem ogrodów warzywnych, wytwarzających ogromne masy jarzyn po nadzwyczajnie nizkich cenach; mimo to gdy niedawno zapowiedziano wystawę warzywniczą w Bagateli, nie zgłosił się ani jeden ogrodnik, również „z powodu suszy,“ która miała tak zniszczyć plantacye, że zbrakło okazów na wystawę, ale nie zbrakło ich na przepełnienie targów. To niedołęztwo, ta niezaradność, mająca zwyciężać w walce o byt z energią i przebiegłością, jest objawem dziwnie smutnym.

Trzeci most.

Już nie w pobożnych życzeniach ludności, nie w projektach dzienników, ale w kołach urzędowych coraz mocniej utrwala się przekonanie, że Warszawa potrzebuje niezbędnie trzeciego mostu na Wiśle. Potrzebuje ona go dziś, a tem bardziej za lat parę, kiedy — według przypuszczeń *Warsz. Dziennika* — ludność jej wzrośnie do 700,000. Obecnie wielki ruch doplywowy i odpływowy transportów kołowych poprostu rozpiera dwa mosty, a sam jest przez nie paraliżowany. Zwłaszcza gdy wstrzymany został od godziny 6-ej rano przejazd wozów pozamiejskich przez most Aleksandrowski, mieszkańcy okoliczni z prawego brzegu Wisły, utrzymujący się z rozmaitych dostaw, ponoszą wielkie szkody. Pomyślmy tylko, że co piątek szosami wschodniemi przybywają na targi warszawskie tysiące furmanek włościańskich z drzewom, sianem, słomą, zbożem i innymi ciężarami, które dla dostania się na Grzybów lub plac Witkowskiego muszą przejeżdżać przez most pod Cytadelą, tj. przedłużać sobie drogę blizko o milę po najgorszych brukach. Skutkiem tego mieszkańcy Grochowa, Wawra, Rembertowa, Miłosny, zostali nagle odsunięci na znaczną odległość, która stanowi dotkliwą różnicę w ich częstej komunikacyi z Warszawą. Trzeci przeto most, łączący Zawiśle ze środkiem miasta, jest sprawą naglącą i bodajby co prędzej wyszedł z krainy projektów.

Jazda ze szpitalem.

Skoro zaczęliśmy i mamy po temu szczerą ochotę, więc rozprawiajmy: gdzie przenieść szpital Dzieciątka Jezus? Wybrane dotychczas miejsca: folwark Świętokrzyski i pole Mokotowskie nie znalazły uznania, więc trzeba szukać dalej. Niektórzy z doradców zajechali już tak daleko, że następcy, którzy zapewne zechcą ich prześcignąć, dotrą do granicy. Ten odśrodkowy ruch projektów wojuje głównie potrzebą świeżego powietrza dla chorych. Nie myślimy lekceważyć tej potrzeby, ale dla powstrzymania zbyt wielkiego rozpędu pozwolimy sobie zwrócić uwagę na trzy okoliczności:

1) że za granicą istnieją szpitale w obrębie miast, co im nie przeszkadza być wzorami tego rodzaju instytucyj;

2) że bardzo szerokie pasy okolic Warszawy nie odznaczają się wcale świeżością powietrza, przeciwnie, cuchną strasznie wywożonemi na nie ekskrementami;

3) że zwolennicy odsunięcia szpitala daleko po za Warszawę powinniby sobie uprzytomnić, jakie tortury przechodzić będą chorzy (często niezdolni wytrzymać mocniejszego ruchu) przy przewożeniu ich na kuracyę.

Nieobojętnym również jest wzgląd, że szpital, umieszczony w znacznej odległości od miasta, będzie pozbawiony lekarzy, posiadających rozleglejszą praktykę. Więc nie zapędzajmy się zbyt daleko i lepiej pamiętajmy o tem, ażeby szpital miał wewnątrz dobre powietrze. Zewnątrz przy obecnej kanalizacyi będzie zawsze niezłe. Mamy w środku miasta domy i mieszkania, urządzone według najzbytkowniejszych wymagań hygieny; czemuż więc nie można jej zapewnić szpitalowi? Zresztą, czyż my w naszych lokalach nie zapewniamy sobie świeżego powietrza i przenosimy się w chorobie za miasto?

„Wieś w Warszawie.“

Tytuł ten dopełniony jest w broszurce p. A. Kowalskiego szczegółowszym: „daremne poszukiwanie przez pewnego warszawiaka w różnych, a coraz i odleglých okolicach tego, co miał pod samym, za pozwoleniem, nosem.“ Ów warszawiak zaś poszukiwał świeżego powietrza: w ogrodzie Krasińskich, Saskim na Powązkach, w Łazienkach, Dolinie Szwajcarskiej, Wilanowie, Otwocku — wszędzie znalazł wyziewy, kurz, wilgoć i już miał odebrać sobie życie, gdy przypadkiem zajrzał na wystawę hygieniczną, która uleczyła go z samobójstwa. Tu dopiero bowiem spotkał prawdziwą „wieś.“ Opowieść ta, jako wątek artystyczny, nie ma żadnej wartości, ale autor wplótł w nią tendencyę: 1) przechwalenia wystawy hygienicznej, na którą patrzy wzrokiem bezkrytycznym i 2) ocalenia jej placu jako ogrodu wiejskiego. Na tę drugą dążność godzimy się w zupełności. Plac wystawy, jako położony wysoko, nieścieśniony do-

kuczliwemi sąsiedztwami, gdyby pozyskał należyte zadrzewienie, mógłby się stać kiedyś pięknym i hygienicznym parkiem miejskim. Nie dałby on Warszawie, ani „wsi,“ ani „od ukochanych wirchów tatrzańskich płynącego powietrza“ — jak chce autor — ale dałby miejsce orzeźwiającego wypoczynku.

BADANIA NAUKOWE.

GROMADA PRA-DZIKA.

II.

Stosunki małżeńskie u Dyjerów. — Powszechność saturnalij i ich znaczenie przezytkowe. — Zbiegowiska pradzikie, jako źródło odmiennych form rodziny. — Peryodyczność działania popędu płciowego.—Pradzikość obejmuje parę kolejnych formacyj.

Dzielnica Australii, otaczająca jezioro Eyre'a, należy do najjałowszych zakątków lądu kopalnego. Zamieszkuje ją grupa pokrewnych plemion, przedstawiająca osobliwy ustrój stosunku małżeńskiego i zarazem najpierwotniejszy z pośród dotychczas znanych.

Młodzieniec, gdy dopuszczono go już do zastępów męskich, otrzymuje tymczasową żonę, lub dokładniej: pozwalają żonie innego mężczyzny miewać z nim ciągle stosunki; później zaś stałą, z którą, jeżeli będzie żył dobrze, pozostanie związany do śmierci. Jest to towarzyszka życia codziennego i gospodyni jego ogniska, przebywa ona z nim razem w gromadce, złożonej z kilku, najwyżej kilkunastu osób, stanowiących zwykle i normalne otoczenie Australczyka. Natomiast, gdyby małżonkowie nie zeszli się nawzajem usposobieniem, wtedy rada plemienna udzieliłaby im surową naganę, lecz rozłączyła, dając kobiecie innego stałego męża, mężczyźnie zaś żonę. Taki związek parzysty jest stałem, wyraźnem jądrem, po za którem istnieją luźniejsze stosunki małżeńskie. Mianowicie podczas każdego święta wtajemniczania młodzieży, na parę dni przed ceremonią obrzezania, rada starców wyznacza każdemu pełnoletniemu mężczyźnie doryweczą żonę — na czas uroczystości, lecz prawo raz nadane, zachowywa moc swoją nadal, aż do skonu, i ilekroć spotkają się na zborach lub uroczystościach, plemieniec może zażądać od niej spełniania obowiązków żony. Ponieważ uroczystości obrzezania towarzyszy przysądzenie każdemu mężczyźnie nowej doryweczej żony, nadto zaś prawa, dawniej nadane, nie ulegają zagładzie, przeto każdy Dyjerczyk, w miarę tego jak zachodzi w lata, jest coraz obficiej uposażany w przelotne towarzyszki. W nocy, poprzedzającej dzień obrzezania, panuje nadto w obozie swawola najkompletniejsza: „dokonywają najohydniejszych praktyk,“ — pisze misyonarz Gason, każdy zna każdą. W życiu codziennem zwyczaj ściśle określił prawa grupy doryweczych mężów względem tej samej kobiety: starszy wiekiem ma pierwszeństwo przed młodszymi; jeżeli mąż stały opuści na pewien czas żonę, zamieszkuje ona szałas najstarszego z pośród piraurów (pod taką nazwą słyną przelotni małżonkowie). Korzystanie z takich praw małżeńskich zależy od spotykania się wzajemnego osób, wyznaczonych przez plemię, co znowu zdarza się częściej lub rzadziej odpowiednio do tego, jak na powierzchni kraju jest rozproszona zwierzyna i wogóle środki utrzymania.

Zwyczaj starodawny przekazał gromadność związku małżeńskiego, warunki bytu narzuciły obcowanie parzyste, wola zaś społeczna, upostaciowana w wielkiej radzie plemiennej, reguluje prawa zbiorowe i usuwa zatargi. W takich warunkach stosunek małżeński jest instytucyą, opartą nie na umowie, lecz stanem społecznym, posiadanym od urodzenia. Zresztą, o ile bierzemy Dyjerów, nie ogranicza się on powyżej przedstawionemi formami. Z chwilą, w której plemię da komuś stałą żonę, zostaje ona faktycznie małżonką wszystkich braci męża, rodzonych i totemicznych, i ci nawet mają przed mężem pierwszeństwo do panny młodej podczas pierwszej nocy — według starszeństwa. Istnieją jeszcze inne, tylko jednorazowe grupy małżonków: każde dziewczę, które dojrzało, jest kolejno żoną wszystkich plemieńców, naturalnie w granicach zakazów totemicznych.

Spotykamy więc u Dyjerów, Kunandaburów i innych pokrewnych plemion niewątpliwie ślady stosunku małżeńskiego gromadnego, przyczem każdy plemieniec wchodzi naprzód do grupy stałej, parzystej, później do coraz szerszych, luźniejszych, związki zaś takie nie są pozostawione kaprysowi indywidualnemu, lecz znajduje się pod kontrolą woli publicznej. Bezład bywa zresztą zjawiskiem rzadkiem—tylko podczas uroczystości plemiennych. Gromadność obcowania małżeńskiego podczas zborów istnieje u większości plemion australskich. Zdarza się nawet wśród tych, które nie znają ani instytucyi małżonków doryweczych, ani swoistości związku małżeńskiego. U niektórych zniknęła nawet w takiej formie i bywa praktykowana tylko w wyjątkowych razach — gdy zagraża posucha, ukaże się zorza południowa, dla odwrócenia klęski. Jest wtedy przeżytkiem, który przybrał charakter obrzędu religijnego.

Tak samo na globie istnieją ludy najrozmaitsze. Jedne z pośród nich odznaczają się rozwiązłością, inne — czystością obyczajów. Ale nawet u szczepów najpowściągliwszych istnieją pewne uroczystości, podczas których pod osłoną religii pierwotnej zapanowywa na dni parę najzupełniejsza swawola. W różnych punktach Afryki i Ameryki czerwonoskórej, Indyj Przedgangesowych i Polinezyi mamy do czynienia z takiemi saturnaliami Jak one wyglądają, nie będziemy się nad tem zastanawiali. Braknie poniekąd materyału, nietylko wiarogodnego, ale wogóle jakiegokolwiek. Tymczasem rytuał takich świąt rozpusty bezwarunkowo daje dużo rysów ciekawych i pouczających. W tańcach uwydatniają się ruchy lubieżne tego rodzaju, iż nawet niepodobna wdawać się w szczegółowy opis. Są one niekiedy tylko symbolem kultu, ale tego rodzaju pozory są zawsze przeżytkiem obrazów i stosunków ongi rzeczywistych.

Fakty, przytoczone powyżej, świadczą o tem, że zbory i zbiegowiska były wszędzie, tak samo jak jeszcze dzisiaj u Dyjerów, okresem bezładu. Pra-człowiek koczował drobnemi gromadkami. Dojrzewanie owoców ściągało je do pewnej okolicy, lub parcie ławic łososi, przejście bizonów. Ogniska obozowe buchały płomieniem, zgromadzeni jedli do przesytu, pałali rozbudzonymi instynktami i oddawali się miłości. Gdy uczta, zastawiona przez przyrodę, kończyła się, zbiegowisko rozpadało się na dawne gromadki, może z pewnemi nieznacznemi zmianami. Po za okresem bezładu nastawały stosunki małżeńskie, odznaczające się charakterem bardziej określonym. Na tle związku komunalnego widzimy u Dyjerów stałe jądro parzyste, otoczone jeszcze luźnym związkiem swoistym. Możemy, z pewnem prawdopodobieństwem przypuścić, że tak było ongi. Rozwój, wyszedłszy z takiego ogniwa, doprowadził zasadnicze założenie do odmiennych konsekwencyj, stosownie do warunków. U Nairów np., ludu rolniczego w Indyach Przedgangesowych, pozostały stosunki zbiorowe. Każda kobieta mieszka z braćmi i ma paru mężów, którzy odwiedzają ją kolejno, każdy zaś mężczyzna wchodzi do paru stadeł. Ukazanie się takiej formy ze stanu bezładu pierwotnego było możliwe tylko pod tym warunkiem, iż bogactwo owoców i płodów pozwoliło gromadom koczującym przejść bardzo wcześnie do osiadłego trybu życia. Gromadność obcowania małżeńskiego zachowała się, ujęta w pewne karby. Nairki żyją grupami złożonemi z sióstr rodzonych; jest przeto rzeczą możliwą, iż ten sam mężczyzna będzie mężem paru takich kobiet, razem mieszkających, jako też, że wszedłszy do pewnego ogniska domowego, wprowadzi do niego z biegiem czasu swoich kuzynów. Atoli u rozpatrywanego ludu takie stosunki swoiste (jeśli istnieją nawet, o czem nie wiemy) nie przybrały charakteru ogólnego, ani tembardziej wyłącznego. Natomiast u Todów, zamieszkujących góry Nilgeryjskie, spotykamy tylko takie grupy małżeńskie z rodzonych braci z jednej strony, rodzonych sióstr z drugiej. Jeśli mężczyzna poślubia kobietę, wszystkie jej siostry, w miarę dojrzewania, stają się jego żonami, oraz jego braci. Przyznawanie ojcowstwa jest tam tylko czczą formalnością: pierwsze dziecko uchodzi za dziecko najstarszego męża, drugie — następnego itd. Jeszcze gdzieindziej, z biegiem czasu, gdy ród ludzki zajmował coraz dalsze okolice, zbiegowiska mogły ustać z braku odpowiedniego podłoża materyalnego — nadmiaru pokarmu w pewnej okolicy. Małżeństwo parzyste, co najwyżej z pewnemi szczątkami swoistości, mogło tam zjawić się bardzo wcześnie.

Usiłowano dowieść, że saturnalia ludów pierwotnych są związane z peryodycznością działania popędu płciowego. Powoływano się na pewne świadectwa, które, naszem zdaniem, nie grzeszą zbytnią wiarogodnością. Oldfield o Australczykach powiada, że „na podobieństwo zwierząt leśnych człowiek dziki posiada tylko pewne pory roku dla związku małżeńskiego, mianowicie okres czasu, który na to wyznaczyła przyroda obfitością pokarmów i względną łatwością utrzymania, jako też podniecającym wpływem temperatury. Około środka wiosny, gdy yam dojrzał i młoda zwierzyna jest obfita, o jaja i inny pożywny pokarm łatwo, Waczandżowie przystępują do odprawienia wielkiego, na pół religijnego obrzędu, będącego przygotowaniem do spełnienia ważnej powinności rozplodczej.“ Johnston o Bonakach Kalifornii odzywa się, iż „mają oni porę parzenia się tak samo, jak jeleń, łoś, antylopa i inne zwierzęta,“ Powers zaś to potwierdza: „wiosną, gdy dzika koniczyna jest soczysta, Kubinapeki są pełni chuci miłosnej. Ta pora roku jest dla nich tak samo, jak dla zwierząt i ptaków lasu, istną uroczystością S. Walentyny.“ Tę tezę — peryodyczności działania instynktu rozplodczego — starano się udowodnić jeszcze w inny sposób, wykazując, na podstawie statystyki urodzeń, że w pewnych miesiącach zapłodnienia są częstsze, w innych rzadsze, co świadczyłoby, iż popęd płciowy działa w ciągu roku nie w jednakowym stopniu. Westermark zebrał osobiście od misyonarzy pewien materyał faktyczny co do tego zagadnienia. Ktoś, przebywający na w. Lifu (arch. nowohebrydzki), pisze, że zaręczyny odbywają się w listopadzie (tj. wiosną), ktoś inny z terytoryów kafryjskich, że poczęcie najczęściej następuje w sierpniu i wrześniu. Można tutaj przytoczyć obawy naszych włościan, ażeby dziecko nie przyszło na świat na przednówku i podczas żniw. Może takie same pobudki, natury ekonomicznej, nie zaś fizyologicznej, działają także u barbarzyńców. Szczegółowsza analiza zborów australskich lub kalifornijskich, świadczy, że obfitość pokarmu jest tam także główną przyczyną zbiegowiska; ściągające zaś

gromady na to samo miejsce, jednocześnie wpływała ona podniecająco na siły żywotne i instynkty. Zresztą mniejsza o powody, — peryodyczność popędu płciowego jest przypuszczeniem, nasuwanem przez fizyologię.

Działanie peryodyczne chuci miłosnej cofa nas wstecz aż do czasów najpierwotniejszych, do najwcześniejszej formacyi związków małżeńskich, gdy nie miały one jeszcze trwałego charakteru. Wnioskując bowiem z faktów świata zwierzęcego, trzeba przypuścić, że po zaspokojeniu popędu kobieta nie dopuszczała do siebie mężczyzny. Dopiero z rozwojem umysłowym zjawiła się mniej więcej stała podnieta idejowa i usunęła dawny stan rzeczy. Trudno wyrobić pojęcie o tem, jak kształtował się wzajemny stosunek pomiędzy płciami po za okresem podniecenych instynktów rozpłodczych za czasów pierwszej formacyi. U Markizańczyków kobiety, w ciągu całego prawie roku, nie mogą spożywać mięsa, tymczasem podczas saturnalij wraz z nastaniem swobody płciowej są zawieszone wszelkie zakazy. Czy nie byłoby to wskazówką, że podczas zbiegowisk jadła były mniej więcej wspólne, poczem obcowanie towarzyskie mogło stawać się luźniejszem? U Santalów, ludu górskiego w Indyach Przedgangesowych, podczas pewnego święta, przypadającego w styczniu, osoby niezamężne udają się do lasu, tam spędzają czas w obcowaniu bezładnem, dobierają się nawzajem w pary, które zamieniają się na stałe stadła małżeńskie. Czyby to znowu nie świadczyło, że ze zbiegowiska pierwotnego oddzielały się grupy wyraźniejszego charakteru? A ponieważ kobiety zamężne, zwłaszcza karmiące dziecko, były ograniczone w swojej swobodzie, rozpatrywano święta byłyby przedewszystkiem uroczystością młodego pokolenia — przynajmniej co do kobiet, przyczem rywalizacya generacyi starszej i młodszej mężczyzn mogła wywołać pewne następstwa, które dały początek zakazom małżeńskim w zakresie linii wstępnej i zstępnej.

Wszystko to są przypuszczenia, przy których wiarogodności się nie upieramy. Jedno tylko nie ulega wątpliwości, mianowicie, iż sposób, stały lub peryodyczny, wyładowywania instynktu płciowego, oraz obfitość pożywienia rozstrzygały o naturze związków małżeńskich podczas pierwszej formacyi społeczeństwa pradzikiego. Po tym okresie pierwotnym nastała faza późniejsza, za której zaczęła swoje działanie stale istniejąca podnieta płciowa. Musiała ona wywrzeć wpływ dodatni, bo utrwaliła z konieczności luźne stadło małżeńskie, parzyste lub gromadne. Stosunki, do których cofają nas wzory dyjerskie, należą już do tej bliższej epoki pradzikości. *L. Krzywicki.*



LAUS VENERIS.

I.

Coraz potężniej i wszechstronniej we współczesnej litaraturze Francyi rozwija się prąd odrodzenia estetycznego sztuki, wzorującej się na tworach klasycznych. Co prawda, literatura grecko-łacińska nie przestawała nigdy być źródłem udoskonaleń dla poetów i prozaików francuskich. „Poczynając od wieku XVI—powiada historyk Albalat—nie schodziła ona u nas z porządku dziennego. I czy chodzi o Ronsarda, Racine'a, Cheniera, Heredia lub Leconte de Lisle'a, w każdym z nich mamy do czynienia z Grekiem.“ Czasy, w których Stendhal mógł powiedzieć, że „Grecyę znają dziś tylko Niemcy,“ przeminęły bezpowrotnie. Od kilkudziesięciu lat nie ustaje we Francyi praca nad odbudowaniem zabytków przeszłości klasycznej. Jedno po drugiem następują wydawnictwa tekstów i wzorowych przekładów, a legion komentatorów i historyków stara się natchnąć życiem i spoić w całość ocalałe fragmenty starożytności. Wszyscy znamy zresztą fakt, że imiona najwybitniejszych poetów i filozofów francuskich, będących niejako rzecznikami ruchu dzisiejszego, związały się nierozerwalnie z historyą odbudowy i więcej jeszcze, bo z porywem umiłowania klasycyzmu. Sully-Prudhomme, Leconte de Lisle, Renan, Anatol France, Juliusz Lemaître — starsi i młodsi bogowie paryskiego Olimpu—przekładami arcydzieł, literaturą apokryficzną, przeniknięciem ducha i formy starożytnych utorowali drogę nowym pokoleniom, oszczędzając im niejako trudu żmudnych poszukiwań i wprowadzając odrazu w rozjaśnione perspektywy świata starożytnego. Dwaj może najwybitniejsi z młodych poetów, Regnier i Vielé-Grifin, są tak nawskróś, choć bez ujmy dla swej indywidualności, przeniknięci zrozumieniem ducha i form klasycyzmu, że czytając ich, zdaje się, że mamy dalszy ciąg strof i anakreontyków. Cały zastęp młodych pracuje nad najwierniejszem oddaniem bądź okruchów pieśni Safony, bądź dyalogów cynika z Samosaty, bądź niezliczonych mitów kultu i szczegółów życia Grecyi pierwotnej, Grecyi z kolonii, Rzymu, Aleksandryi. Vielé-Grifin, chcąc dać filozofię poezyi, woła Pindara w utworze p. t. Πάλαι (Ongi) i każe mu mówić przed Koryną, Myrtis i Loggosem. Pieśni Louijsa o Astarte, pieśni Bilitis, fragmenty przekładów i przeróbek z Lucyana. *Thaïs* Anatola France'a, przekłady halucynacyi Swinburne'a na tematy klasyczne, — wszystko to rozchwytywane jest w lot przez młodzież literacką Francyi współczesnej i stanowi pokarm jej, a zarazem punkt wyjścia w pracy samodzielnej. Na czele ostatniej swej książki, poświęconej obyczajom starożytności, p. t. *Afrodyta* *), kładzie Louijs następujący urywek z Wagnera: „Ruiny nawet świata greckiego uczą nas, w jaki sposób moglibyśmy sobie uczynić znośnem życie nasze w świecie nowoczesnym.“

Z wielu wydawnictw chwili ostatniej, które pozwoliły nam zoryentować się w jednym z ciekawszych prądów literackiego odrodzenia, wybierzmy ów utwór Louijs'a. Autor jego, do niedawna estetyk znany nielicznej grupie „delikatnych,“ dziś stał się sławą francuską dzięki tej książce, która rozeszła się w ciągu kilku miesięcy w czterdziestu tysiącach egzemplarzy. Louijs już stoi na progu popularności, która często każe zrywać z przeszłością — nie zerwał z nią jednak dotąd i jest ciągle jednym z ulubieńców młodej literatury. Marzenia jego są więc podwójnie dla nas ciekawe.

„Czy powtórzą się jeszcze kiedyś czasy Efezu i Cyreny? — pyta on. — Niestety, świat nowożytny upada pod ciężarem brzydoty. Cywilizacye kierunek biorą z północy, grzęznąc w mgłach, zimnie i błocie... Jaka noc pokrywa nieczyste zaułki, po których krąży lud czarno ubrany!..“ Więc chcąc ujść tej zmorze brzydoty, która go prześladuje, zwraca się Louijs do świata, „którego etyka nawet wielką była dlatego, że między sprawiedliwem a niesprawiedliwem wybór czyniono na mocy kryteryum piękna.“

II.

W Aleksandryi, za czasów królowej Bereniki, córy Ptolemeuszów, a ze strony matki córy wszystkich bogów syryjskich, mieszka zalotnica Chryzis. W leniwem życiu, które pędzi piękna w odległej dzielnicy miasta, jedyną rozkoszą jej, po nudnych, przymusowi poświęconych nocach, są ranki słoneczne, gdy w kąpieli, czy na rękach niewolnic, przed lustrem lub w samej nagości, adoruje boski kształt własnego ciała. Godziny niemego zachwytu spędza tak Chryzis, podziwiając złote przędziwa swych włosów, oczy swe, „które umiały tak patrzeć, jak śpiewają syreny,“ lub śnieżność swej piersi i niezrównaną miękkość swej skóry, oblegającej jędrne członki... Ale powoli z tej samoadoracyi rodzi się pod nizkiem czołem Chryzis myśl pewna — nie myśl, ale pożądanie. Chciałaby zaznać innego upojenia, innej namiętności, niż te, które dają noce przymusowe. Chciałaby — nim jeszcze uroda przeminie — doznać czegoś, czego innym, nikomu nie danem było zaznać. Nie jestże dość piękną? A jednak jak dni płynące za dniami są dla niej bezzmienne, monotonne i nudne!

W tej samej Aleksandryi i w tym samym czasie żyje niezrównany Demetrius, rzeźbiarz Afrodyty i faworyt królowej, która mu sama ciało swe ofiarowała na wzór do posągu. Demetrius jest bożyszczem Aleksandryi: nie sama tylko królowa łaknie obecności jego, nigdy się nią nie nasycając. Kiedy Demetrius idzie wybrzeżom, rój kobiet podąża za nim, czyhając na kwiat upadły z jego ręki lub na spojrzenie mimowolne. O kwiat ten i o to spojrzenie nieraz śmiertelne walki toczyły kobiety Aleksandryi, mężowie zaś przestali nawet zazdrościć podobnemu bogom. A jednak Demetrius czuł nudę, pustkę i niesmak życia..

Chryzis i Demetrius spotkali się na moście, w blasku księżyca, podobnie jak spotkały się przedtem, nie wiedząc o tem, ich kaprysy z nudy poczęte. Zdziwienie naprzód, potem dziwny niepokój ogarnęły Demetriusa, kiedy ujrzał, że zalotnica przechodzi obok niego, nie pozdrawiając go nawet, nie zdając się go zauważać. Niepokój rychło stał się nieokiełznaną żądzą posiadania tej kobiety, o której istnieniu przed chwilą jeszcze Demetrius nie wiedział, ale której piękno olśniewające, w blasku księżyca widoczne, podbiło go nagle, jak grom. Za oczyma temi, „patrzącemi jak śpiewają syreny,“ Demetrius poszedłby na kraj świata. Tymczasem Chryzis przyjęła go szyderstwem: cóż ją to mogło obchodzić, że inne za nim szalały? Czy ona zna Demetriusa? Ależ zna go i śmieje się nieraz, widząc jak, niby nic dbając o nic, goni wejrzeniem ukradkowem tłum kobiet, którym jego uroda głowę zawróciła... Zresztą zgadza się Chryzis na błagania Demetriusa, owszem, niech przyjdzie do niej, lecz niech jej przyniesie grzebień z kości słoniowej, zdobiący włosy arcypasterki świątyni Afrodyty, naszyjnik świętych pereł, zawieszony na posągu ofiarowanym bogom przez samego Demetriusa i wreszcie lustro srebrne po słynnej Safonie, a dziś będące własnością kurtyzany Rodopis. Trzy dary — trzy zbrodnie kradzieży, morderstwa, świętokradztwa— nie są zbyt wysoką ceną, gdy idzie o niezrównany kształt Chryzis.

Demetrius zrazu uważa żądania te za śmieszną pretensyę, o której myśleć nie warto. Nad ranem jednak poczyna zamiary Chryzis spełniać, a w nocy dnia drugiego jest w posiadaniu darów, kupionych zbrodnią...

...W marzeniu ledwie chciała wierzyć Chryzis, że życzenia jej będą spełnione. Więc kiedy staje przed nią Demetrius z wieścią o dokonanych czynach, zimna kurtyzana czuje, że wszystko oddać potrafi dla tego człowieka i najpierw chce mu oddać siebie. Ale Demetrius już nie chce jej. W marzeniu, niesiony potęgą pragnień, posiadł był Chryzis tak piękną,

*) *Aphrodite*, Paryż, 1896.

jak wyobraźnia poety może sama tylko piękno doskonale wymarzyć. Czyż to mu nie wystarcza? Czyż Chryzis myśli, że jej uroki rzeczywiste mają teraz dla niego wartość? Zresztą on nie dla niej zdobył grzebień, naszyjnik i lustro — zdobył je dla siebie. I odchodząc od Chryzis, osłupiałej i tracącej przytomność, dodaje Demetrius. Jeśli jednak Chryzis ubierze się w te klejnoty, których sama żądała, jeśli się ukaże w nich ludowi, pieniącemu się z wściekłości na wieść o trzech zbrodniach dokonanych nocy poprzedniej, jeśli jej lud nie rozszarpie na placach Aleksandryi — to on, Demetrius, odwiedzi ją w więzieniu, do którego zostanie w takim razie wtrącona, na kilka godzin przed śmiercią...

(D. n.)

Jerzy Grot.



NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

MEDYCYNA. Sprawa karmienia niemowląt wywołała dwie prace: jedną J. Kramsztyka i A. Fruchtmana „O karmieniu i sztucznem żywieniu niemowląt oraz o badaniu mleka i wyborze mamek“ (odbitka ze *Zdrowia*, str. 36), a drugą „O sposobach badania mleka kobiecego“ B. Polikiera.

— Nader sumienną i pouczającą jest praca d-ra F. Gedroycia p. t. *Ekspertyza lekarska* w dawnych sądach polskich, do końca XVIII w. (str. 89). Autor zbadał przedmiot źródłowo, żałować tylko należy że nie przetłomaczył wielu przytoczonych tekstów łacińskich, co byłoby pożądanem dla nieznających tego języka.

— Dr. Józefa Joteyko wydała cenny przyczynek p. t. *Le fatigue et la respiration élementaire du muscle* (Paryż, str. 58).

ANTROPOLOGIA. P. K. Daniłowicz-Strzelbicki wydał jako odbitkę ze *Zdrowia* swoją pracę p. t. „Przyczynek do badań antropologicznych nad ludnością Królestwa Polskiego“ (str. 40).

TECHNOLOGIA. Dla specyalistów wielce pożądaną jest broszura inżeniera B. Rogowskiego p. t *Pytel płaski*, jego zasadnicze urządzenie, zastosowanie, porównanie z innemi maszynami przesiewającemi i znaczenie w młynarstwie (str. 28).

PRZYRODOZNAWSTWO. *Pamiętnika fizyograficznego* wyszedł tom XIV, który zawiera artykuły i rozprawy: A. Wałeckiego (meteorologia i hydrografia), S. Kontkiewicza, S. Doborzyńskiego, A. Slosarskiego (geologia z chemią i paleontologia). K. Drymmera, F. Kwiecińskiego, F. Błońskiego, A. Missuny, M. Twardowskiej, B. Eichlera, J. Paczoskiego, L. Hildta (botanika i zoologia).

WYDAWNICTWA ZESZYTOWE. *Hellada i Roma* Gubla i Konera — z. 7.

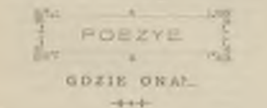
— *Encyklopedyi rolniczej* z. 61 (Mleczarstwo).

BELLETRYSTYKA. Jonas Lie: *Niobe*, powieść współczesna, przekład z norweskiego (str. 351) T. Paprocki.

HUMORYSTYKA. Nakładem *Muchy* wyszedł dowcipny kalendarzyk na r. 1897 p t. „Facet.“

PEDAGOGIKA. „Najnowszy elementarz polski“ Plato v. Reussnera, część I, wyd. 8.

FILOZOFIA W czasopiśmie niemieckiem *Kantstudien* p. W. Lutosławski zamieścił wyczerpujący artykuł p. t. „Kant in Spanien.“ Z artykułu tego dowiadujemy się, że w Hiszpanii nawet profesorowie uniwersytetów niewiele wiedzą o słynnym reforma- [illegible]



GDZIE ONA?

Pól mi zielone błyszczą malachity
Koralem maków tkane, srebrem rosy.
I niby namiot z błękitów rozbity,
Tak nad tą ziemią zawisły niebiosy.
W błękitach słońca lśni tarcza złocona..
A jednak smutno... Jej niema! Gdzie ona?

Wieczór się zbliża: na smukłe topole
Z krzykiem zleciały kawki dla narady;
Bocian już usnął w swem gnieździe na kole;
Wypłynął księżyc i patrzy się blady,
Czy prędko słońce na zachodzie skona...
A mnie tak smutno... Jej niema! Gdzie ona?

Takie tu piękne czarujące noce.
Gdy wiążą kraj ten swojej ciszy pętem,
Niebo gwiazdami drobnemi migoce,
Potem zabłyśnie mnogich gwiazd dyamentem...
I stoi noc ta, gwiazdą zaświeciona...
A mnie tak smutno... Jej niema! Gdzie ona?

Gdzie ona? — ciche pytają kurhany,
Co się po polach rozsiadły szeregiem.
Gdzie ona? — szepczą mi gwiazd karawany;
Brzozy tak płaczą ponad stawu brzegiem ..
Gdzie ona?! Krzyk ten rwie się z mego łona...
I tak mi smutno... Jej niema! Gdzie ona?..

G. Daniłowski.



WYSTAWA W NIŻSZYM NOWOGRODZIE.

I.

Skupiła ona cały dorobek techniki, bogactwa i wogóle rozwoju ekonomicznego i kultury od zachodnich granic austryackich i pruskich, Bałtyku do Władywostoku i Kamczatki; od pogranicza tureckiego w Europie i Azyi do najpółnocniejszych krańców Finlandyi, do oceanu Lodowatego. Ten wielki popis ogarnął wszystko, co dało ostatnie czternastolecie (od wystawy wszechpaństwowej w Moskwie r. 1882). Tym razem wybrano Niższy Nowogród, punkt zbliżony bardziej do Urala, niż kresów południowych i zachodnich, prawdopodobnie dlatego, ażeby ułatwić udział olbrzymich obszarów azyatyckich. Przytem Niższy Nowogród leży w obrębie przemysłu wielkiego gubernij środkowych, sąsiaduje z okolicami przemysłu drobnego („kustarnego“), a nadto jest ważnem ogniskiem handlowem szerokich obszarów azyatyckich i europejskich. Tu się odbywa doroczny wielki jarmark (obecnie przypada jednocześnie z wystawą), na który przyjeżdżają kupcy z najdalszych krańców Syberyi, Turkiestanu, Buchary, tu się widzi w głównym gmachu jarmarcznym, zbudowanym systemem pasażowym, tę wielką pstrokaciznę wzorzystych towarów wschodnich, najróżnorodniejszych tkanin, futer, przedmiotów galanteryjnych i t. d. Jarmark niższo-nowogrodzki jest to osobne miasto na pobrzeżu Oki i Wołgi, które opuszczone, ciche, drzemie przez rok cały, dopiero podczas zjazdu kupców ożywia się i budzi. Liczne, długie ulice, złożone ze sklepów, napełniają się towarami, osiem oddziałów banków najwybitniejszych pracuje gorączkowo, przystanie przepełnione setkami olbrzymich statków ładownych, ogromne parowce piętrowe z dołu Wołgi i jej dopływów wielkich spławnych, z Astrachania, Saratowa, Kazania, Permu i z góry: z Rybińska, Jarosława. przywożą codzień tłumy. Towary płyną ze wszech stron: nawet z Finlandyi, z portów bałtyckich, zatoki Fińskiej, jezior: Ładoskiego, Oneskiego, Czudzkiego, Ilmenia, za pomocą świetnego połączenia rzek kanałami. Z drugiej strony od Moskwy idą długie sznury wagonów towarowych do krańcowej stacyi dróg żelaznych w Niższym Nowogrodzie. Śród tego targowiska i zgiełku, śród mnóstwa ludzi, przybyłych ze wschodu, turysta odczuwa żywo otoczenie azyatyckie, bo część Azyi, niezbyt dalekiej, tu się przenosi na czas jarmarku. Ma on swój ster: komitet, swoje własne odrębne instytucye, hotele, restauracye, ulice, skwery, banki, sale posiedzeń, statki, przystanie, a nawet teatr. Przepływają tędy miliony kilogramów towarów różnorodnych i miliony rubli. Słowem jest to zupełnie odrębne miasto, rozłożone w nizinie, nad którem po drugiej stronie rzek wznosi się na wysokich wzgórzach malownicze miasto właściwe.

Tuż przy jarmarku, również na nizinie, nad Oką wybrano wielką płaszczyznę na wystawę wszechpaństwową przemysłową i artystyczną. Na miejscu zupełnie pustem i dzikiem zbudowano 70 pawilonów rządowych i 118 prywatnych, między którymi są okazałe murowane gmachy. Nadto zbudowano ku Oce koleją żelazną, tramwaj elektryczny na samej wystawie, parę linij tramwajów elektrycznych, prowadzących od wystawy przez jarmark do miasta i przez miasto, dwa elewatory, windujące publiczność na wysoką górę miejską; wprowadzono wreszcie oświetlenie elektryczne.

Ponieważ miasto nie było przygotowane na znaczną liczbę gości nadzwyczajnych, więc tuż przy wystawie pobudowano mnóstwo hotelów, a gdy grunta zabrakło, wzniesiono jeden pływający na rzece. Wszystko to zbito, sklecono naprędce z drzewa, wyłożono na to znaczne sumy, więc dla pokrycia wydatków oznaczono ceny niemożliwie wysokie; są numery kosztujące na dobę od 2 do 10 rs., przyczem osobno się liczy opłata za oświetlenie elektryczne od 25 do 50 kop. na dobę. Z różnych stron ściągnęli tu spekulanci i przedsiębiorcy, którzy pootwierali „pokoje umeblowane“ z oknami i drzwiami wypadającemi, restauracye z setkami kelnerów, lichą muzyką i śpiewem, gdzie drożyzna szkaradnej i niezbyt czysto przyrządzonej strawy przechodzi wszelkie pojęcie. Po za ścianami wystawy rozłożyły się setki straganów i straganików z różnorodną tandetą; przekupnie wprost urządzają kampanię, atakują przechodniów. Każdy liczy na kieszeń przybysza: i ten, co włożył w obroty spekulacyjne setki tysięcy, i ten, co tylko dziesiątkami rubli rozporządza.

Wystawa scharakteryzowała najwybitniejsze działy produkcyi dzisiejszej, najważniejsze jej udoskonalenia i źródła potęgi maszynowo-kapitalistycznej. Pierwsze miejsce zajął przemysł wielki z całym arsenałem środków swego rozwoju. W ogromnej hali z dachem oszklonym umieszczono wszystko, co dała technika do ostatniej chwili. Tu potwornej wielkości koła syczą i warczą po cichu, poruszane parą i pasami transmisyjnymi, warsztaty tkackie na poczekaniu wyrabiają piękne tkaniny, dalej szumią motory gazowe i naftowe, wrzeszczą piły w tartakach parowych i odkładają stosy desek z bierwion równo pociętych. Po za tą halą piece olbrzymie naftowe strasznie ryczą płomieniem jaskrawym, buchającym z rur do wnętrza przepaścistego. Ziemia drży, budynki w postawach dygocą i zda się runą lada chwila pod działaniem ognia lub pary, ściśniętej w tych olbrzymich machinach; powietrze ogrzane, przesycone wonią smarów i produktów paliwa, wytwarza atmosferę fabryczną bez domieszki tych gryzących gazów, pyłków, dymów, wydzielających się przy fabrykacyi różnych przedmiotów. Jak gdyby siła tajemnicza gdzieś w podziemiach ukryta, porusza lśniące, odświętnie wyczyszczone potwory, te łokcie i koła stalowe, i tylko gdzie niegdzie dojrzeć można człowieka, kierownika ślepej energii, zużytkowanej przez wynalazczość ludzką na korzyść produkcyi wielkiej. Milczące tylko i zimne stoją kotły parowe różnych systemów, z odartymi bokami, odsłoniętem wnętrzem — rzędami rur, przez które para ma się przeciskać. Osobno stoi hala z mnóstwem maszyn, wytwarzających elektryczność dla oświetlenia wystawy, jarmarku, miasta, tudzież poruszania tramwajów.

Za halą maszyn i piecami naftowymi koleje żelazne zajęły szeroką przestrzeń.

Kilka par szyn pokryły wagony i parowozy różnych dróg oraz pierwszego towarzystwa wązkotorówek. W budynkach zaś umieszczono całą technikę kolejową z najdrobniejszymi szczegółami. Wogóle grupa komunikacyjna zajęła pokaźne i rozległe miejsce na wystawie. Obok modelów mapy i tablice wykazują stan i technikę dróg szosowych oraz mostów, a żegluga rzeczna i morska uderza swą okazałością i bogactwem. Tu znajdujemy nieprzeliczone mnóstwo modelów statków, wykonanych z nadzwyczajną dokładnością całkowicie i w przekrojach; tu widzimy różno ich części naturalnej wielkości, ogromne kotły parowców rzecznych i morskich, kotwice olbrzymie, kajutę naturalnej wielkości z całem urządzeniem, modele portów, wykazujące stronę techniczną, mnóstwo map, planów itd. Wogóle ten dział bogaty charakteryzuje wybornie cały rozwój żeglugi morskiej i rzecznej w państwie.

Budynek główny — olbrzymia rotunda pośrodku wystawy— mieści najpotężniejsze dzisiaj działy przemysłu: wyroby tkacko-przędzalnicze, metalurgię, górnictwo i wyroby fabryczno-rzemieślnicze. Górnictwo, obok różnych rud i szczegółów techniki produkcyi, dało niemal naturalnej wielkości modele szachti korytarzów z windami. Metalurgia scharakteryzowała swój rozwój w okazach wyrobów: szynach, rurach, armatach, kotłach, machinach najbardziej skomplikowanych itd.

Największym atoli przepychem, bogactwem, a nawet poniekąd i smakiem artystycznym, odznacza się dział przędzalnotkacki. Niektóre bardzo ozdobne i piękne witryny kosztują podobno po paręset tysięcy rubli, ale wykonano je... za granicą. Rozłożony w nich towar ujawnia całą gorączkowość produkcyi i jej współzawodnictwo w różnych okręgach. Piękne dywany nęcą oko, a stopy cicho toną w ich puszystości. Różne wyroby bawełniane, korty, szewioty, kamgarny, perkale, kretony, gustowne, ładne, lub pospolite, skromne, dla mas ubogich przeznaczone, madapolamy, płótna ciężkie i lśniące białością, batysty, gazy przezroczyste, misterne, zalecają się, wdzięczą przez grube tafle szyb w witrynach. Zawrotu głowy tu dostać można i oczy zmęczyć. Z przedmiotami tymi sąsiadują futra wspaniałe, przystępne dla możnych, a dalej przez nieskończenie długie sale gmachu ciągną się wyroby przemysłu artystycznego z odlewów bronzowych, z kamieni rzeźbione, lub toczone z drzewa ozdoby salonów i gabinetów bogatych; lampy, świeczniki salonowe, fortepiany, pianina różnych fabryk, czasem rozlewające swe pełne akordy, melodye Bacha, Chopina lub popularne walce i marsze pod uderzeniem palców ludzi opłaconych dla reklamowania firmy. Muzykę tę szarpią i głuszą silne głosy dzwonów, wypróbowywanych na wystawie lub orkiestra, grająca na środku w obrębie podwórza gmachu głównego.

Po długich godzinach wychodzimy stamtąd, ażeby skierować kroki w tył, do pawilonów leśnictwa, myśliwstwa, rybołówstwa i rolnictwa. Osobno w dwu budynkach obszernych umieszczono narzędzia rolnicze, wszystkie, jakie tylko mają obecnie zastosowanie w różnych częściach państwa. Oddzielną grupę stanowi produkcya zbożowa własności większej i włościanskiej, od Wisły do Amuru, gorzelnictwo, cukrownictwo, uprawa buraków i wszelkich innych ziemiopłodów, wreszcie działalność doświadczalno - naukowa w tym zakresie. Dalej ogrodnictwo, oprócz pawilonów, zajęło część gruntu wystawowego, rozsiadło się w szkółkach. W hali przestronnej, oszklonej—pomologia, przetwory owocowe i rośliny ozdobne. Nieopodal oryginalny budynek, wzniesiony z bierwion brzozowych, pokrytych korą białą, przeznaczono dla hodowli ptactwa domowego. Kogуty dają znać o sobie głośnem pianiem z różnych tonów od *basso profundo* do dyszkantu. Są tam okazy piękne, olbrzymie, cenione po rs. 50 i poglądowo przedstawiające, do jakiej doskonałości doszła sztuka krzyżowania.

Okazały, obszerny gmach zajęła produkcya fabryczna. Witryny-sklepy, a w nich perfumy, mydełka, czekoladki rozłożone dla zachęcenia przechodniów, napraszają się do kupna, panny „sklepowe" oczekują nabywców. Dalej w głąb sporo miejsca zajęła produkcya mączna, wódczana, skórzana, witryny zwracają uwagę bogactwem lub oryginalnością; w jednej ogromna kolumna ze świec stearynowych zbudowana, druga oparta na słupach z butelek różnokolorowych. Witryna lustrzana jest podwójną wystawą: samej witryny, artystycznie wykończonej i — luster. Produkcya szklana rozpostarła przed wzrokiem widza cały swój postęp, mieni się bogactwem barw kryształowych i kształtów naczyń do wszelakiego użytku. Dalej garbarstwo wykazało postępy w zakresie wyprawy skór i zarazem swą siłę ekonomiczną.

Odrębną całość stanowi przemysł drobny, odznaczający się bogactwem różnorodności. Tu można w każdym szczególe studyować jego zastosowanie praktyczne w życiu codziennem, postępy i braki.

Gmach sztuki, dużo obiecujący zewnętrznie swą okazałością, zawodzi wewnątrz. Najwybitniejsi malarze i rzeźbiarze prawie nic nie dali. Szarzyzna pospolita. Trochę krajobrazów, trochę scenek rodzajowych, zaledwie parę obrazów Makowskiego, Szyszkina i innych zasługują na uwagę. W dziale sztuki finlandzkiej ubóstwo. Kilka obrazów dość sucho odtwarza fantazye baśni tego narodu, kilka innych przedstawia chłód północny, wodę, ogniska, a przy nich mizerne twarze nędzarzy w wyszarzałem, podartem ubraniu. Na tych twarzach jednak maluje się jakaś dziwna odrębność, jakieś serdeczne zrośnięcie się z tą północą podpolarną.

Azyę środkową obejmuje osobny pawilon, zbudowany w stylu bizantyńskim. Tu rozwieszono dywany wschodnie, towary łokciowe o barwach pstrych, jaskrawych. Za szeregami witryn, mieszczącemi wszelkie przedmioty najwybitniejszych gałęzi produkcyi dalekiego wschodu, rozłożył się bazar azyatycki z handlarzami o twarzach ciemno-oliwkowych, zachwalającymi swój towar. Monotonna muzyka starców w turbanach i młodzieńców, złożona z uderzeń w bęben i kilku jękliwych tonów, obliczona na przynętę publiczności...

Również w oddzielnym pawilonie umieszczono nadzwyczaj bogaty i ciekawy dział syberyjski, charakteryzujący kulturę, wierzenia i życie ekonomiczne ludów, rozproszonych na tych olbrzymich obszarach. Tu widzimy narzędzia i budowle przemysłu rybnego, przetwory i produkty rybne, okazy etnograficzne, podobizny bożków i wszelkie narzędzia.

Tak wystawa rysuje się w pamięci po pierwszym jej przeglądzie. Za drugim razem utrwalają się szczegóły, wyraźniej odgraniczają się całe grupy, okręgi i prowincye. Między innemi widzimy w różnych pawilonach gub. Królestwa Polsk., które wzięły udział większy, niż kiedykolwiek w wystawach tego rodzaju, szczególnie zaś przemysł wielki pokazał swe bogactwo i postęp techniki wytwórczej, dał najlepsze wyroby sukienne, kamgarny, szewioty, korty, z którymi nie mogą współzawodniczyć inne w obrębie państwa, ale za to znacznie ustępuje perkalom drukowanym, satynkom, kretonom, wyrabianym w gub. Moskiewskiej i Włodzimierskiej, które są o wiele gustowniejsze, sutsze i trwalsze, aniżeli pochodzące z okręgu łódzkiego; ale natomiast przedmioty tego rodzaju z Królestwa Polskiego usiłują współzawodniczyć taniością i są obliczone na masy spożywców ubogich.

Zen. Piet.

Utrata rynków. Pisma petersburskie zwracają uwagę na to, iż młynarze tracą stopniowo rynki zbytu za granicą, z powodu współzawodnictwa młynów niemieckich. Skargi właścicieli młynów w Rosyi stwierdzają rezultat obrotu handlowego mąki za pierwsze półrocze r. b. W okresie tym wywieziono różnego rodzaju mąki ogółem około 1¼ miliona pudów, tj. mniej, aniżeli w pierwszem półroczu r. z. o 250 tysięcy pudów i o pół miliona pudów mniej, niż w pierwszem półroczu 1894 r. Niemcy rugują mąkę rosyjską również z Finlandyi. W ciągu pierwszego półrocza r. b. przywieziono jej z Rosyi do Finlandyi tylko 56 tys. pudów, gdy w tymże okresie 1894 r. dowieziono tam ogółem 1¼ miliona pudów, a w roku zeszłym około 900 tysięcy pudów. W tym samym stosunku zmniejszył się wywóz mąki rosyjskiej do państw skandynawskich.

— Postanowiono powiększyć fundusze głównego zarządu stadnin o 300,000 rs. i utworzyć dwie nowe stadniny rządowe.

— Według zapewnień *Warsz. Dn.* na rynku warszawskim zapanował pewien niepokój, wywołany pogłoskami o bankructwach na prowincyi.

W DALI.

Lublin. Pracownicy handlowi Żydzi postanowili założyć własne stowarzyszenie wzajemnej pomocy. Projekt ustawy złożono już władzy wyższej. — Lud gub. Lubelskiej odznacza się szczególną łatwowiernością. Oszukują go różni wyzyskiwacze, pokątni doradcy, złodzieje tużurkowi i pomimo smutnego doświadczenia, pomimo bolesnych zawodów, nieuleczony z łatwowierności, ciągle pada ofiarą tych mętów, bezkarnie pływających po powierzchni życia społecznego. Niedawno znowu jakiś zuchwały oszust rozpoczął rabunek w sposób dotychczas niebywały: łapie chłopa i namawia, ażeby za dobrem wynagrodzeniem odniósł list do księdza lub dziedzica. Ponieważ wewnątrz będzie sto rubli, więc potrzebna jest kaucya. Chłop oddaje wszystko co ma przy sobie, często 20—50 rs., a złodziej wkłada do koperty podobiznę setki — papier malowany i znika. Oszustwa takie zdarzyły się niejednokrotnie w miasteczkach i osadach i pomimo to nie nauczyły innych ostrożności. Ciemnota ludu ułatwia śród niego tego rodzaju operacye.

Piotrków. Władza przychylnie przyjęła zabiegi miejscowych kupców i przemysłowców, starających się o urządzenie jarmarków na konie w Piotrkowie. — Otwarto trzecią szkołę elementarną miejską. — Wobec nadzwyczajnego wzrostu Łodzi, oddawna daje się odczuwać dotkliwy brak szpitalów. Ogólnych jest tylko dwa: jeden miejski na 90 łóżek, drugi, ufundowany przez małżonków Poznańskich również na tyle łóżek. Obecnie 65 fabrykantów zobowiązało się złożyć fundusz w celu budowy nowego zakładu na 1,100 łóżek. Ofiarodawcy zapłacą po 1,500 rs. za każdych 100 robotników, pracujących w fabrykach, pod warunkiem, że utrzymanie jednego chorego nie będzie wynosiło więcej niż 75 kop. dziennie. Koszty budowy szpitala obliczono na 132,000 do 165,000 rs. Zarząd miasta daje bezpłatnie plac na ten cel w lasku podmiejskim.

Radom. Opracowano ustawę Towarzystwa kredytowego miejskiego. — Dn. 8 b. m. otwarto wystawę koni. — Pomocnik naczelnika straży ogniowej ochotniczej w Radomiu, p. Franciszek Laskowski, opracował projekt ubezpieczenia członków czynnych tej instytucyi. Składki płacić ma zarząd miasta. — W wielu miejscowościach gubernii znacznie się podniosły ceny ziemi ornej. *Kuryer Codzienny* zaznacza fakt sprzedaży za pośrednictwem Banku włościańskiego folwarku Jakubowice, w pow. Sandomierskim między Ożarowem a Sandomierzem. Za włókę przesłicznej ziemi bez inwentarza chłopi płacą po 5 tysięcy rs.

Kijów. Pośrednictwo w całym kraju południowo-zachodnim opasało rolników większych i włościan, wysysa znaczną część ich zysków, co oczywiście odbija się zgubnie na interesach ekonomicznych. Z chwilą rozpoczęcia żniw zaczynają się kręcić „kupcy zbożowi,“ raczej agenci różnych spekulantów, silni skutkiem swej solidarności, która ułatwia im operacye na znacznej przestrzeni państwa. Zniżają oni ceny ziarna wpychaniem zaliczek wiecznie gołemu i wiecznie żądnemu grosza ziemianinowi. Ci agenci nie przebierają w środkach działających na zniżkę, a ponieważ wiedzą wybornie, że większość rolników nie bawi się w czytanie, niema pojęcia o żadnych tam „konjunkturach“ na rynkach zachodnich, więc też łatwo nadużywają ich łatwowierności, pokazując „okólniki“ firm zagranicznych, ostrzegające niby głównych skupywaczów zboża, ażeby nie nabywali dużych partyj ziarna po wysokich cenach wobec nadmiaru tego produktu za granicą. Jeżeli jako tako „oświecony“ obywatel ziemski daje się usidlać w tych sieciach, to cóż mówić o chłopie, którego zboże nie wychodzi po za targi miejskie i nigdy nie dosięga tej skali, co ceny ziarna szlacheckiego, nb. ceny zrobione przez pośredników! Jeszcze w większej zależności spekulantów pozostają plantatorowie buraków, którzy prawdopodobnie nigdy nie będą mogli wybrnąć z zaklętego koła „zaliczek.“ — Korespondent *Now. Wr.* niedawno doniósł o strasznem zdziesiątkowaniu dziatwy podolskiej po wsiach skutkiem gwałtownego przebiegu dyfterytu podczas upałów tegorocznych. W niektórych wsiach wymarły prawie wszystkie drobne dzieci. W rodzinach, w których było ich po pięcioro, sześcioro, pozostało jedno lub dwoje, w niektórych zaś pochowano wszystkie. Pomoc lekarska jest zbyt słaba, ażeby mogła walczyć skutecznie z tak silną epidemią. Jeden lekarz powiatowy i dwaj wiejscy na cały powiat, liczący 12—15 wsi gęsto zaludnionych, w których niejedna ma tysiąc i więcej mieszkańców, to rzeczywiście organizacya zdrowotna zanadto mizerna. Staraniem niektórych właścicieli ziemskich sprowadzono tu i owdzie lekarzy prywatnych, którzy podobnie z pomyślnym rezultatem stosowali surowicę d-ra Rouxa. — Naczelnik południowo-zachodnich kolei żelaznych zwrócił się do zarządu kolei rządowych z prośbą o wyasygnowanie 4.000 rubli na utworzenie biblioteki dla oficyalistów kolejowych. Zarząd kolei odpowiedział, że podobnego rodzaju subsydya mogą być udzielane w tym tylko wypadku, jeżeli biblioteka powstała lub ma powstać z własnych środków oficyalistów. Wobec tego koniecznem jest, aby urzędnicy kolejowi zgodzili się wziąć udział w utworzeniu biblioteki, poczem nietrudno już będzie uzyskać pomoc od rządu. Koleje południowo-zachodnie, zużywające corocznie 2½ do 4½ miliona cegieł, (nie licząc robót, oddawanych w antrepryzę), posiadają własną cegielnię w Koziatynie. Cegielnia ta jednak nie zadowala wszystkich potrzeb kolei, zarząd więc polecił inżynierowi Podgórskiemu zbadanie miejscowości, położonych wzdłuż linii kolejowej w celu wybudowania drugiej cegielni. Najodpowiedniejszą okazała się glina, wzięta z miejscowości na 70—71 wiorście Nowosielickiej odnogi i jeżeli powtórne próby wypalania cegieł dadzą dobre rezultaty, budowa cegielni w tem właśnie miejscu niezwłocznie będzie rozpoczętą. — Stowarzyszenie kupców kijowskich przedsięwzięło starania o pozwolenie otwarcia w Kijowie szkoły handlowej. Obecnie otrzymano już pozwolenie ministeryum skarbu. Z początkiem roku szkolnego szkoła będzie otwarta. Program jej jest mniej więcej taki, jak warszawskiej szkoły Kronenberga. Kurs nauk trzyletni; na pierwszy kurs będą przyjmowani kandydaci, którzy ukończyli cztery klasy gimnazyum filologicznego, lub realnego i złożą dodatkowy egzamin z języków nowożytnych. Niezależnie od szkoły, będą otwarte kursa handlowe dla dorosłych, niższe i wyższe. Na niższym wykładane będą: arytmetyka handlowa, buchhalterya, korespondencya i towaroznawstwo; na wyższym zaś, oprócz tych przedmiotów, języki: niemiecki, francuski i angielski, towaroznawstwo w szerszym zakresie, prawo handlowe, ekonomia polityczna itp. specyalne przedmioty.

Petersburg. Komitet naukowy ministeryum oświaty zajęty jest obecnie sprawą zmian programu szkół miejskich, założonych na zasadzie ustawy z r. 1872. Ponieważ większość wychowańców tych zakładów przechodzi potem do szeregów rzemieślników, subjektów i niższych urzędników, albo do szkół fachowych, więc podobno postanowiono rozszerzyć naukę rysunków i kaligrafii Między innemi ma także być uwzględniona nauka hygieny. — W Niższym Nowogrodzie wkrótce rozpocznie swe posiedzenia zjazd przedstawicieli towarzystw pomocy oficyalistów prywatnych i subjektów, oraz innych stowarzyszeń, mających te same zadania i cele. Na zjeździe mają być rozpatrywane następujące kwestye: 1) ubezpieczenie oficyalistów prywatnych na wypadek choroby, starości lub śmierci. 2) zaprowadzenie odpoczynku świątecznego i niedzielnego dla osób, służących w przedsiębiorstwach handlowo-przemysłowych, 3) zakładanie przy towarzystwach wzajemnej pomocy kas pożyczkowo wkładowych; 4) opracowanie ustawy normalnej dla towarzystw wzajemnej pomocy zarówno istniejących, jak dla tych, które w przyszłości powstać mogą w celu ujednostajnienia ich działalności; 5) zakładanie kas emerytalnych, ogólnych dla stowarzyszeń, mających jednakowe cele i zadania, oraz poszczególnych dla każdego ze stowarzyszeń, przyczem pożądanem jest opracowanie w tym wypadku ustawy normalnej; 6) urządzenie centralnego biura informacyjnego, mającego na celu pomaganie członkom stowarzyszeń w wyszukiwaniu miejsc, przyczem biuro zająłoby się organizowaniem zjazdów w przyszłości; 7) o potrzebie założenia organu specyalnego, poświęconego wyłącznie interesom osób, zajętych pracą w instytucyach prywatnych; 8) uregulowanie stosunku pomiędzy służącymi i chlebodawcami, w celu ograniczenia samowoli z obu stron; 9) przyjmowanie osób płci żeńskiej do stowarzyszeń; 10) urządzanie w przyszłości zjazdów przedstawicieli stowarzyszeń, mających na celu jednakowe zadania; 11) uformowanie kapitału ogólnego w celu zaspokojenia potrzeb naukowych członków stowarzyszeń; 12) ograniczenie godzin zajęcia w sklepach, składach itp. zakładach handlowych i kantorach prywatnych; 13) o konieczności wprowadzenia dla wszystkich pracujących w instytucyach prywatnych książeczek służbowych lub też innych dowodów, w których byłyby zaznaczane: wysokość pensyi, terminu służby i innych warunków umowy pomiędzy pracownikiem a zarobkodawcą; 14) o zobowiązaniu właścicieli przedsiębiorstw handlowo-przemysłowych do wypłacania pensyi za pewien okres czasu w razie choroby pracownika lub likwidacyi interesów firmy; 15) zakładanie szkół handlowych; 16) podanie prośby do władzy o przyjmowanie do służby w składach rządowych okowity członków stowarzyszeń subjektów, którzy skutkiem zaprowadzenia monopolu wódczanego utracą miejsca u osób prywatnych; 17) o środkach, mających na celu wzbudzenie zainteresowania się stowarzyszeniami zarobkodawców i wogóle właścicieli przedsiębiorstw handlowo-przemysłowych.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Rosyjskie połączone Towarzystwo ogniowe ogłasza konkurs na ułożenie instrukcyi, której celem jest specyalne nauczanie i przysposabianie członków straży i towarzystw ogniowych.

— Władza wyższa zbiera dane, dotyczące specyalistów, którzy zechcieliby objąć posady w instytucyach sądowych Syberyi.

— Wedle najświeższego sprawozdania, w Galicyi istnieje obecnie 1,147 kółek rolniczych.

— *Ruskij Inwalid* ogłasza, iż na zasadzie Rozkazu Najwyższego zdegradowano na żołnierzy jedenastu oficerów białogrodzkiego pułku dragonów, stojącego załogą w Płoskirowie gub. Podolskiej.

— Wprowadzono następującą zmianę w art. 174 ustawy o powinności wojskowej: Okres właściwy przyjmowania ochotników postanowiono oznaczyć od 27 sierpnia do 13 października każdego roku. Termin służby dla wstępujących przed 13 września liczy się od 13 września, dla wszystkich zaś innych od 13 października. Ochotnicy mają także prawo wstępować do wojska przed 27 sierpnia; w tym jednak razie termin służby liczy się od 13 września tego roku, w którym ich przyjęto.

— Opracowano projekt Towarzystwa racyonalnego rybołówstwa w Warszawie. Ma ono na celu zarybianie stawów i rzek dzierżawionych, prowadzenie gospodarstwa rybnego wyłącznie na użytek członków itd.

— Przy muzeum Towarzystwa pszczelniczo-ogrodniczego w Warszawie powstanie muzeum rybackie.

— Skutkiem wzrostu obrotów warszawskiego oddziału Banku państwa, w roku przyszłym postanowiono powiększyć liczbę pracowników.

— Wyklęty niedawno z ambon wszystkich kościołów Galicyi, były kapłan Stanisław Stojałowski, uwięziony został w Cieszynie i pod strażą odwieziony do Jasła pod zarzutem przestępstw prasowych.

— Hambursko-południowo-amerykańskie Towarzystwo żeglugi, Lloyd północno-niemiecki i hamburskie stowarzyszenie kolonizacyi nabyło w prowincyi Santa Catharina (Brazylia południowa) znaczną część ziemi na cele kolonizacyi niemieckiej.

— Warszawskie Towarzystwo dobroczynności nabyło posesyę przy ul. Młynarskiej w celu budowy przytułku dla rzemieślników i robotników zniedołężniałych wskutek pracy i wieku. Zarząd przytułku wkrótce odda do użytku jedno pomieszczenie na początek dla 15 pensyonarzów.

— W ostatnich czasach spadły grady i śniegi we Francyi i temu zapewne przypisać należy oziębienie temperatury wogóle na zachodzie i u nas. Chłód idzie od Atlantyku.

Szkoły. Od roku przyszłego wszystkim seminarzystom ma być dozwolony wstęp do uniwersytetów, jeżeli nie będzie przeszkód ze strony władzy duchownej. (*Orl. Wiest.*).

— Wobec szerokiego zastosowania elektryczności, postanowiono r. p. otworzyć w ważniejszych punktach państwa szkoły specyalne dla przysposobienia elektrotechników oraz specyalistów do układania przewodników i obsługi dynamo-machin.

— Pierwsze dla kobiet gimnazyum otwarto w Krakowie. Fundusze płynąć będą ze składek członków Towarzystwa popierania tego zakładu

— We Lwowie, pomimo pięciu gimnazyów, brak miejsca dla znacznej liczby kandydatów, którzy może by się zwrócili do szkół fachowych, gdyby te ist-[illegible]

Nowe księgarnie. W ostatnich miesiącach zyskała Warszawa kilka nowych księgarń (Rządzewskiej, Sadowskiego, Bukowskiego i in.). Temu przyrostowi sklepów nie odpowiada przyrost wydawnictw, nie sądzimy jednak, ażeby pierwsze były zbyteczne, gdyż współzawodnictwo z pewnością wytworzy lepsze niż dotychczas środki i sposoby przyciągania ogółu do literatury.

Koleje i komunikacye. Ministeryum rozpatruje projekt nabycia czterech lokomotyw elektrycznych i urządzenia dwu pociągów kuryerskich z szybkością 100 wiorst na godzinę, oraz dwu towarowych z szybkością 40 w. na godzinę. Wiadomość tę przyniósł pismom codziennym telegraf z Petersburga.

— Zarząd główny poczt i telegrafów wprowadzi telefony w tych miastach, które zechcą przyjąć na siebie część wydatków.

— Wkrótce wprowadzona będzie bezpośrednia komunikacya osobowa pomiędzy Warszawą a Odesą.

Sądy. Sprawa b. policmajstra radomskiego, Kiryczenki, na skutek skargi prokuratora roztrząsana będzie przez senat 6 października.

— W maju r. 1892 robotnik Staczyński, pracujący w kanale na jednej z ulic warszawskich, uległ [illegible] obu kości prawej goleni skutkiem tego, iż wół pędzony wpadł na niego. Poszwankowany żądał na drodze sądowej od magistratu wynagrodzenia dożywotniego po rs. 1 kop. 20 dziennie w ratach miesięcznych. Sąd okręgowy nie uwzględnił tego żądania i skazał powoda na 288 rs. tytułem kosztów na rzecz magistratu. Innego zdania była Izba sądowa. Uznała ona winę magistratu, gdyż ten jako przedsiębiorca główny robót kanalizacyjnych, odpowiada za winę dozorców, którzy nie zabezpieczyli robotnika od wypadku. Na takiej podstawie przyznano Staczyńskiemu 20 rs. miesięcznie pensyi dożywotniej, którą ma płacić magistrat.

Wystawy i zjazdy. Siódmy międzynarodowy kongres zwolenników pokoju odbędzie się w Budapeszcie pomiędzy 17 a 22 b. m.

— Otwarte będą dwie wystawy: w Mińsku (od 27 września do 2 października) pomologiczna, ogrodnicza, kwiatowa, leśna; w Czugajewie (od 26 września do 13 października) — rolnicza.

— Na XXI zjeździe przemysłowców górniczych, który wkrótce się odbędzie w Charkowie, między innemi będą rozważane sprawy: otwarcia nowych szkół sztygarów tudzież założenia nowego instytutu górniczego w jednem z miast Rosyi południowej.

— W pierwszej połowie grudnia zwołany będzie do Petersburga zjazd młynarzy.

— W Moskwie odbędzie się w roku przyszłym drugi zjazd aptekarzy, którego program układa obecnie osobna komisya. Obradom towarzyszyć ma profesor uniwersytetu moskiewskiego Tichomirow, tudzież pp. Ferrein i Rosenberg.

Zmarli Raul Dąbrowski w Warszawie, pisarz z zakresu myśliwstwa. Napisał między innemi „Encyklopedyę wiadomości leśnych i myśliwskich," „Wspomnienia myśliwego" itd.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Win. Sk. I to — nie.

Goût-fin. Wiersz Pański nie daje wcale świeżego obrazu.

Panu Br. P. Najprostszy i najpewniejszy sposób: niech Pan wiersz pozbawi rymów i wyrazi go prozą, zobaczy pan odrazu, co on wart.

Samoukowi. Oprócz dziełek wydanych w *Bibliot. nationale*, wogóle utwory klasyczne. Do przyswojenia sobie języka wielce pomaga czytanie powieści.

Prenumerat. w Falenicy. Adres: Schliersee (Baiern) — w języku francuskim lub niemieckim.

Sprostowanie. W nr. 36, w art. *Z wycieczki*, str. 425, szp. 1, w. 40 — zam.. „Przed dwudziestu laty," czytaj: „Przed dwunastu laty."

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 30 Августа 1896 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.